

W numerze: Kamikaze • Cztery podwórka • Marzenia i rzeczywistość • Jak odkopałem trybunał • Fizyk i pisarz • Obłok pary • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 46 (350)
13. XI. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Kto was słucha saksofony?

Widziałem najlepsze umysły mego pokolenia strawione obłędem, wygłodzone w nagłej histerii, narkotyków z głowami cherubinów spalonych starą namiętnością niebiańskiej rozkoszy połączenia się z gwiazdowym dynamem maszynierii nocy, którzy w bledzie i szmatach siedzieli na poddaszach rozlanych po szczytach miast, w dogłębnym ciemnościach mieszkań bez gorącej wody z oczami zamkniętymi paląc i kontemplując jazz.

ALLEN GINSBERG: SKOWYT

VII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Jazzowej w Warszawie — Jazz Jamboree 64:

Widziałem setki wieczorowych sukien i wizytowych garniturów, w które wsiadał jazz. Widziałem ludzi zasluchanych i zdziwionych, takich, co się nudzili i oburzonych, widziałem, jak pośród tutti trąb i puzonów spał smacznie Mateusz Świąciecki — czarnobrody, poważny i tęgi krytyk od rymów (wypatrzył biedaka paparazzo i pstryknął mu zdjęcie).

Ale czasy, kiedy jazz był pretekstem do awantur i krzyku, niechlujstwa, zmierzwionych włosów i czarnych bród — minęły. Z wyjątkiem paru skostniałych w egzystencjalnej pozie muzyków — polskiego saksofonisty, wspomnianego krytyka i młodego Niemca, który grał na fortepianie w konwulsyjnych skrętach całego ciała, jakby dążył do samowyzwolenia; pijanego trochę, zatem nieczulego w swym świętym uniesieniu na błysk flesza i wydrwinki słuchaczy — otóż z wyjątkiem tych trzech — wszyscy byli normalni: ci znudzeni i oburzeni, grający i zasluchani. I ci snobi, z których część za dwa, trzy lata nauczy się słuchać, bo jazzu, jak Bacha — trzeba uczyć się latami.

Dalszy ciąg na str. 4



STEFAN KOZICKI

KŁOPOTY Z NEREM

W dużych okręgach przemysłowych rzeki przestają być rzekami. Przemieniają się w ścieki biologicznie martwe. Już nie są piękne. Nie są pożyteczne. Niosą składniki zatruwające glebę nadbrzeżnych łąk i pól. Fetor rozprzestrzeniający się dokoła nich nie pozwala otwierać okien.

Dyrektorzy czytują felietony Putramenta grzmiącego od lat, że okropność! że skandal i chwała zgrabny styl autora, jego polemiczny temperament. Bo opłacają się kary konwencjonalne za zatrucie wody a oczyszczalniaków zakładać się nie opłaca. Bo fabryki nie chcą albo — nie mogą.

Właśnie. Felietoniści upraszczają sprawę. Nie wystarczy chcieć.

Rzecz jest znacznie bardziej skomplikowana.

Mogłem się o tym przekonać niedawno w rejonie Łodzi. W zgierskiej fabryce chemicznej, noszącej diabelską nazwę „Boruta”.

„Boruta” posiada w swym budżecie sumę 30 mln złotych przeznaczoną na budowę urządzeń do oczyszczania ścieków. Od wielu lat czyni starania aby sumę tę wykorzystać. Bez skutku. Bo z kilku możliwych rozwiązań „Boruta” opowiedziała się za najlepszym. Gdyby wybrała wariant minimalistyczny może byłoby już po wszystkim. Ale tak to już jest, że im chcesz lepiej, tym więcej masz kłopotów.

„Boruta” stale płaci odszkodowania za swoje trujące ścieki. I to podwójnie płaci. Raz — Polskiemu Związki Wodkarskiemu. Dwa — właścicielom łąk za Bzurą, do której odprowadza swoje ścieki. W ubiegłym roku zapłaciła 120 tys. zł. Za okres od 1958 r. do 1960 r. komisja arbitrażowa

przyznała dla PZW 187 tys. zł odszkodowania. Doliczając odszkodowania wypłacone za ten sam okres rolnikom, kasa „Boruty” jedynie w ciągu tych 3 lat uszczupliła się w wyniku destrukcyjnej działalności ścieków o przeszło ćwierć miliona złotych!

„Boruta” prawnie płaci odszkodowania za to co czyni poza prawem. Fabryka nie ma bowiem tzw. zezwolenia wodnoprawnego na wypuszczanie swych ścieków do Bzury. I nie może go uzyskać, ponieważ stężenie ścieków jest wyższe niż to przewidują normy ustawy wodnej.

Przepisy nie pozwalają na wydanie wam zezwolenia — poinformowano dyrekcję „Boruty”.

— Czy wobec tego mamy zaprzestać produkcji? — odpowiedziała dyrekcja pytaniem na pytanie. — Od 1896 r. „Boruta” wypuszczała swoje ścieki do Bzury i było dobrze.

— Ale w ostatnich latach powstało nad Bzurą około 10 nowych zakładów przemy-

Dalszy ciąg na str. 3



Trzykrotny triumf partii demokratycznej w wyborach (największe zwycięstwo prezydenckie w historii USA, umocnienie stanu posiadania w Izbie Reprezentantów i Senacie, powiększenie liczby gubernatorów - demokratów) skłania do zastanowienia się nad dwiema sprawami: czemu demokraci zawdzięczają swój sukces i jak dalej rozwijać się będzie sytuacja wewnętrzna w Stanach Zjednoczonych?

Na pierwsze pytanie odpowiedzieć nie trudno. Spośród licznych okoliczności, które przyczyniły się do tego zwycięstwa wymienić trzeba przede wszystkim: uczucie, jakie wielu Amerykanów żywi dla Kennedy'ego (co zdyskontował Johnson), ogólną aprobatę sposobu, w jaki Johnson sprawował władzę, obawę, że jego przeciwnik - Goldwater doprowadzi do licznych kłopotów wewnętrznych i zewnętrznych, obawę przed umocnieniem skrajnej prawicy oraz ostrożny i odpowiedzialny sposób podchodzenia przez administrację demokratyczną do skomplikowanych zagadnień polityki międzynarodowej.

Chciałbym zwrócić szczególną uwagę na ten ostatni element. Sprawozdawca DPA - W. Noelter ocenił to w następujący sposób:

„Wyborcy amerykańscy udzieliłi wotum Johnsonowi wyraźnego mandatu, aby w dziedzinie zagranicznej kontynuował kurs polityki gotowej do porozumienia z komunizmem”.

Po raz pierwszy w wyborach amerykańskich polityka zagraniczna przystąpiła do dyskusji wewnątrz kraju. Wyniki głosowania trzeba więc ocenić jako odrzucenie koncepcji Goldwatera, który - mimo iż w końcowej fazie kampanii szermował hasłami pokoju, praktycznie dążył przecież do spotęgowania zimnej wojny, z wszystkimi jej następstwami.

Z drugim pytaniem jednak znacznie gorzej. Goldwaterizm nie złożył przecież broni - to pewne. Zresztą niefortunny kandydat na prezydenta zapowiedział to wyraźnie: „cały swój wolny czas poświęcę na wzmocnienie konserwatywnego republikanizmu”. I w to nie należy wątpić.

Korzenie goldwateryzmu sięgają dość głęboko, sam ruch zaś czerpie swe żywotne soki z protestu przeciwko utracie przez Stany Zjednoczone dominującej pozycji w świecie i naruszenia uświęconych tradycji stosunków społecznych („rewolucja Murzynów”).

Jego bazę stanowią więc nie tylko organizacje skrajnej prawicy, ale wszyscy, którzy wyrażają swe niezadowolenie i bunt. A liczba tych, jako że renesans „dawnego świetności” Stanów Zjednoczonych nie nie zapowiada, może wzrastać.

Nie, nie chciałbym wyolbrzymiać problemu - nurt konserwatywny wyszedł z wyborów na pewno bardzo osłabiony - lecz raczej przestrzec przed utożsamianiem klęski wyborczej goldwateryzmu z jego końcem, W

na najbliższej przyszłości będzie on z pewnością dawał o sobie znać.

Po największej porażce, jaką kandydat republikański poniósł w dziesięciu stuleci, interesujący może być rozwój sytuacji w partii pokonanych. Liberalne i umiarkowane kółka uważają, że zrozumiałe jest samo przez się, iż Goldwater nie może dalej pretendować do kierowniczej roli w partii. Najbardziej zdecydowany jego przeciwnik - Rockefeller zapowiedział, że naturalną konsekwencją 3 listopada jest przejście organizacji przez siły umiarkowane. Opinię tę podziela również Cabot Lodge.

Wydaje się jednak, że szanse wyśunięcia się na czoło partii republikańskiej jednego z wyżej wymienionych są niewielkie. Raczej - drogą pewnego kompromisu między różnymi skrzydłami - osobistością nr 1 może stać się Nixon. Nie jest to chyba jednak „melodia najbliższej przyszłości”.

Podczas, gdy partia republikańska bez reszty zaprzatnięta jest problemami wewnętrznymi - w obozie zwycięzców rozważa się możliwości pewnych zmian personalnych w administracji. 36 prezydent Stanów Zjednoczonych (12 w historii USA demokraci) nie zamierza wprowadzić wymienianych najbliższych współpracowników (Ruska, McNamara, czy Dillon), może natomiast - jak wynika z napływających informacji - wymienić sekretarzy do spraw oświaty, zdrowia i opieki społecznej, na pewno zaś - odświeżyć personel Białego Domu, otaczając się własnymi ludźmi. Nie powinno to jednak mieć żadnych poważniejszych następstw.

Wybory amerykańskie, choć poświęcono im w ostatnim okresie główną uwagę, nie zagłuszyły innych wydarzeń. W Europie zaliczyć trzeba do nich: nasilenie się pogłosek o wystąpieniu Francji jeszcze przed końcem bieżącego roku z NATO, mowę tronu królowej Elżbiety („W sprawach międzynarodowych głównym celem moich ministrów będzie poszukiwanie zmniejszenia napięcia między Wschodem a Zachodem... Będą usiłować oni... zastąpić konflikt między Wschodem i Zachodem przez międzynarodową współpracę na rzecz pokoju i bezpieczeństwa na świecie”), w Afryce - uroczyste obchody 10-lecia podjęcia walki o niepodległość Algierii, w Azji - kolejne sukcesy partyzantów południowowietnamskich.

W związku z tymi ostatnimi wydarzeniami agencja UPI opublikowała następujący bilans rocznych walk w Wietnamie po obaleniu reżimu Diema: - zginęło 7 tys. południowych Wietnamczyków i 50 Amerykanów.

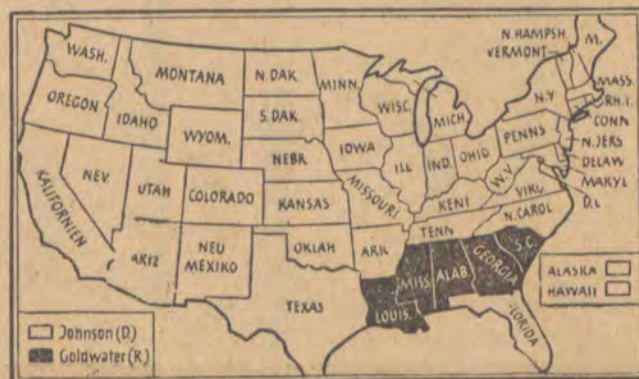
- partyzanci zwiększyli liczebność swych sił z 25 do 30 tysięcy. Poza oddziałami regularnymi dysponują oni ponad 100-tysięczną liczbą sprzymierzonych im mieszkańców.

Agencja podkreśla, iż mimo tak poważnych strat po stronie południowowietnamskiego reżimu, nie widac żadnych zmian na lepsze.

Nie podpisując się pod powyższymi liczbami, możemy zgodzić się z końcowym stwierdzeniem. Szkoda tylko, że w ślad za nim agencja nie sformułowała oczywistego wniosku o bezsensie amerykańskiej polityki rozstrzygnięcia problemu przy pomocy oręża.

W. SŁAWSKI

TKronika Tygodnia



Tak głosowali Amerykanie

PONIEDZIAŁEK, 2 LISTOPADA

Smiały atak na Bien Hoa, amerykańską bazę lotniczą w Pld. Wietnamie, raz jeszcze uwydatnia absurdalność „Brudnej Wojny”. I nie chodzi tu wyłącznie o znaczenie strategiczne tej udanej operacji parazytów, chociaż i ono nie może być przemilczane: zniszczono przecież prawie połowę ciężkich amerykańskich samolotów bojowych w Pld. Wietnamie. Jeszcze ważniejsze wydaje się znaczenie psychologiczne operacji prowadzonej przez partyzantów niemałym przedmiśnięciem Sajgonu.

W obchodach 10 rocznicy rewolucji w Algierze bierze udział delegacja polska z sekretarzem KC PZPR Zenonem Kliszko na czele. Jest to widomy znak przyjaźni łączącej nasze kraje, przyjaźni, która zawiązała się jeszcze w okresie walki narodu algierskiego przeciw uciskowi kolonialnemu, i która pięknie owocuje w ciągu już 2,5-letniego okresu jego niepodległości.

WTOREK, 3 LISTOPADA

Wybory w USA przeszły pod znakiem zapowiadanej zwycięstwa demokratów. A przecież specyfika systemu wyborczego sprawiała, iż przy sprzyjającym układzie sił również i Goldwater mógł mieć swą szansę. Tak więc nie była wykluczona możliwość „nie spodzianki stulecia”!

Premier Wilson rozpoczął swe rządy konsekwentnie: Londyn zapowiada rychłą nacjonalizację przemysłu stalowego i miejskich parcel budowlanych.

Tyle dzieje się na świecie, że przesunięcie Bieguna Magnetycznego o 36 kilometrów nie zrobiło żadnego wrażenia.

W Paryżu krąży pogłoski o możliwości wizyty prezydenta de Gaulle'a w Warszawie.

Na tronie Arabii Saudyjskiej zaszły zmiany: władzę objął Fejsal, ponoc bardziej skłonny od swego poprzednika do reform, słynny z ascetyzmu i surowych obyczajów, głęboko religijny. Ten patriarchalny władca kraju, w którym z pustynnych piasków tryska nafta wartości 1.000 000 000 dolarów rocznie zastaje sytuację bardzo niekorzystną dla swego tronu: otacza go niechęć sąsiednich



państw arabskich i ciche niezadowolenie własnych poddanych.

ŚRODA, 4 LISTOPADA

Goldwater! Tak trafnie określił jakiś dowcipny komentator porażkę awanturnika z Arizony. Johnson uzyskał 61,4% głosów. Polonia głosowała zgodnie na Johnsona. A mówiło się, iż wpływ Goldwatera wśród Polaków

niemniej złożył tradycyjne oświadczenie wyborcze. Robiąc dobrą minę do złej gry wspominał o winach niektórych przywódców republikańskich, którzy nie poparli go w czasie kampanii, zaatakował prasę i radio za stronnictwo i wymigał się od wyraźnego stwierdzenia, czy nastąpią zmiany w kierownictwie partii republikańskiej.

PIĄTEK, 6 LISTOPADA

Oświadczenie premiera Pompidou - chociaż miało na celu złagodzenie poprzednich deklaracji - raz jeszcze zwróciło uwagę na ostry kryzys jaki trwa w NATO i we Wspólnym Rynku. NATO bowiem - wg słów premiera - należy zreorganizować „w interesie dobrze zrozumiałej obrony europejskiej”. Natomiast Wspólnemu Rynkowi grozi „piękna śmierć” na skutek rozbieżności w systemach gospodarczych krajów członkowskich.

Premier Erhard omawiając ostatnie zmiany w kierownictwach państwowych ostrzega przed „zimnym wiatrem ze wschodu”.

Wiceprezydent w nowej kadencji, Humphrey, w pierwszej powyborczej wypowiedzi stwierdził, iż problem zjednoczenia Niemiec jest zagadnieniem lokalnym a inicjatywa w tej sprawie leży głównie w rękach rządu zach. niemieckiego. Wypowiedź ta została w Bonn uznana za „wysoko niepokojącą”.

SOBOTA, 7 LISTOPADA

Po wczorajszej uroczystej wieczornej akademii ku czci 47 rocznicy Rewolucji Październikowej - dziś imponująca defilada na Placu Czerwonym.

W referacie wygłoszonym na akademii L. Breżniew stwierdził iż w walce o pokój, demokrację, niezawisłość narodową i socjalizm najgłębszą zdobyczą jest stworze-



Rozgromieni republikanie

amerykańskich niepokojąco rosła!

W stolicach całego świata wybór Johnsona przyjęto z zadowoleniem - i co tu ukrywać - z ulgą.

Moskwa: „To polityk realistyczny i rozsądny”.

Londyn: „Wynik wyborów, to odrzucenie awanturnictwa politycznego”.

Paryż: „Zwycięstwo zdrowego rozsądku”.

Bonn ustami Erharda komplementuje Johnsona tym głosił, iż bardziej chce pokroć przykre wrażenie: przecież Goldwater miał w NRF tak dużo sympatyków.



KŁOPOTY Z NEREM

Dalszy ciąg ze str. 1

słowach. Zakładów, które dodatkowo zatruwają rzekę.

— No, właśnie — powiedział przedstawiciel dyrekcji wskazując palcem Dziennik Ustaw Nr 17 — ustawa wodna stawia warunki dla ścieków, które są, lub mają być odprowadzane do rzek posiadających wody rozcieńczone w granicach stosunku od 1:6 do 1:20. Tymczasem Bzura ma stężenie 1:2.

I tak wyszedł podwójny paradoks. Że — po pierwsze — ścieki „Boruty” odprowadzane są do rzeki, która posiada większe zanieczyszczenie niż same burackie ścieki i że — po drugie — fabryka musi działać nielegalnie, bo zezwolenia otrzymała nie może, ale nie może też zaprzestać produkcji.

Wzowano generalnego projektanta zakładów do prokuratury. W prokuraturze — mówi inż. Witold Gerlicz, przedstawicielstwa — dwa tomy akt (ok. 100 stron każdy) zawierające projekty i korespondencje w sprawie oczyszczania naszych ścieków. Szczególnie przekonujące było pismo wydziału gospodarki wodnej WRN do Zarządu Inwestycji Melioracyjnych z dnia 27.I.61, w którym stoi, że zakłady „Boruta” wykonywały ze swej strony zalecenia wszystkich poszczególnych konferencji.

Zwiększa się z roku na rok zanieczyszczenie Bzury, bo z każdym rokiem zwiększa się produkcja „Boruty”, bo „Boruta” jest zakładem prężnym, w rozbudowie. Jest zakładem prężnym ale nie na tyle aby uporać się z gospodarką wodną. Wprawdzie w ostatnich latach uczyniono w zakładach wiele, budując trzy osobne sieci wodne: sieć wody pitnej, przemysłowej i pochlodziwej (w budowie znajduje się kanał burzowy z piaskownikami), celem odciążenia osadników mechanicznych — wiadomo od dawna: produkcja najważniejsza. A to, co dzieje się na zapleczu — te kolory ścieki, ta czarna, cuchnąca rzeka, te zsypaniska, te śmietniki...

Cóż z tego, że na przeszło 60 km odcinka, aż do Łowicza Bzura stała się biologicznie martwa? Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Na przykład rolnicy. Najpierw narzekali, a teraz chwalią sobie nawet. Przewyższali się, że „Boruta” pieniądze im wypłaca. Nie muszą się martwić zmianami klimatycznymi. Czy jest deszcz, czy nie ma, czy są czy nie ma nawozów w GS — leca kary, bez trudów związanych z uprawą. Leżysz ze dół brzochny, wstawiasz tylko do kasy. I dobra.

W roku 1953 Katedra Inżynierii Chemicznej przy Wyższej Szkole Inżynierskiej w Szczecinie pod kierunkiem prof. Bagińskiego wykonała pierwszy projekt unieszkodliwienia trujących ścieków „Boruty”. Projekt ten przewidywał zbudowanie urządzeń które by oczyszczały ścieki w czterech fazach: 1. neutralizacja przez wapnowanie, 2. osadzanie wytrąconych składników, czyli tzw. klarowanie, 3. przepuszczanie przez filtry żużla brunatnego, 4. chlorowanie.

Metoda ta koncepcyjnie, teoretycznie służyła, po zastosowaniu w skali półprzemysłowej wykazała pewne mankamenty. Likwidowała np. kwaśny odczyn, ale nie wytrącała soli, której do produkcji barwników (specjalność „Boruty”) używa się sporo w postaci soli glaukowskiej i zwykłej kuchennej. Okazało się też, że żużel brunatny w filtrach zbyt szybko się wymywał.

Mimo tych mankamentów komisja techniczna i KOPI nie miały zasadniczych za-

strzeżeń, które uniemożliwiałyby realizację projektu. Zaczęto więc w r. 1956 budowę od urządzeń do usuwania osadów.

Potem wybudowano urządzenia do wapnowania ścieków zwaną pieszczołową fabryczką wapniennego mleczka, tak, że polowe zaprojektowanych urządzeń oddano do użytku już po dwu latach tj. w 1958 r.

Mniej więcej w tym samym czasie Biuro Urzędów Komunalnych miasta Łodzi wystąpiło z koncepcją przyłączenia ścieków przemysłowych miast satelickich (Ozorków, Zgierz, Pabianice) do ścieków miejskich, tak jak to już ma miejsce ze ściekami przemysłowymi niektórych fabryk położonych na terenie samej Łodzi. Ponieważ „Boruta” mieści się w Zgierzu dyrekcja jej żywo zainteresowała się tą koncepcją tym bardziej, że mogła partycypować w kosztach niezbędnych urządzeń mając owe 30 mln na budowę dalszych części oczyszczalni. Nowa koncepcja była koncepcją przewidującą wielorakie gospodarcze korzyści. Zakładała bowiem, że ścieki odprowadzane po wstępnym zneutralizowaniu na wielkie obszary łakowe w rejonie rzeki Ner, będą wsiąkać w glebę użyźniając ją i pozwalając uzyskać wyższe plony.

Zainteresowanie „Boruty” nie było ogólne. Przystąpiła ona natychmiast do działania. Po pierwsze zwróciła się do władz miejskich aby w projekcie połączenia kolektorem dzielnicy Zabieniec z resztą miasta uwzględnić w jego przepustowości ścieki „Boruty”. Prezydium MRN wyraziło zgodę. Ale — o ironio losu! — nie wyraziło zgody specjalistyczne przedsiębiorstwo podległe Prezydium, stwierdzając na podstawie opinii ekspertów, że projekt jest technicznie niewykonalny.

Wobec tego dyrekcja „Boruty” zlecała na koszt własny (ok. 100 tys. zł) opracowanie ekspertyzy technicznej innych rozwiązań. Ekspertyza gotowa po pół roku przewidywała cztery możliwe warianty odprowadzenia ścieków „Boruty” wraz ze ściekami łódzkimi w rejon rzeki Ner. Wybrano jeden z nich. Bez przepompowni, mniej kosztowny ale — wskutek konieczności wgłębienia się na jednym z odcinków 14 m pod ziemię — kosztowny na tyle, aby wywołać dalsze wątpliwości i opory.

Jednak główny argument oponentów (że technicznie niemożliwe) upadł. Widząc to oponenti wysunęli nowe możliwości. Np., że ścieki „Boruty” nawet zneutralizowane w polowie, będą szkodliwe dla upraw.

Wobec tego dyrekcja „Boruty” (znów na koszt własny) zaleca Instytutowi w Puławach dokonanie badań nad wpływem na kulturę rolne ścieków „Boruty” zmieszanych ze ściekami Łodzi w stosunku 1:8. W konferencji na której Instytut Puławski przedstawił wyniki swych badań uczestniczyli najwybitniejsi specjaliści. Konferencja stwierdziła, że na uprawy traw ścieki „Boruty” działają wybitnie dodatnio; pewne negatywne skutki ujawniają się tylko przy uprawie pomidorów i bobówk i to tylko przy większym niż przewidywane stężeniu. Powzięto też uchwałę broniącą: „Jedyną realną koncepcją unieszkodliwienia ścieków „Boruty” i ochrony rzeki Bzury przed zanieczyszczeniami, to przerzut ich wraz ze ściekami m. Łodzi i Zgierza do rzeki Ner”. Pobrano diety. I rozjechano się.

Nowy argument oponentów odpadł. Ale nie na długo, gdyż inni znów specjaliści MRN, dowiedli, że „próby biologiczne przeprowadzone przez Instytut Puławski, jako odbywane w warunkach laboratoryjnych są niewystarczające”. Że potrzebne są nowe doświadczenia w warunkach zbliżonych do naturalnych tj. na polach. Wtedy dyrektor „Boruty” po raz pierwszy się wściekł. „W ten sposób, fałszywym systemem, możemy wydawać na badania i ekspertyzy pieniądze bez końca — wykrzyknął. — Powiedzieć lepiej od razu jakie warunki trzeba spełnić, aby można było uzyskać wiążącą decyzję. Że „tak”. Albo że „nie”. Chcemy coś zrobić nie wisieć w próżni. Jednego nie skończyliśmy, drugiego nie zaczęliśmy. Tylko gadamy i gadamy!”

Wtedy przyszła dyrektorowi w sukurs Wojewódzka Rada i Komitet Wojewódzki partii. Kierownik wydziału rolnego Prezydium WRN polecił aby w PGR Nabelnica nawodniono łąki z mieszaniną ścieków łódzkich i „Boruty”. Wyniki przeszły oczekiwania. Do dziś inż. Pator, kierownik wydziału dumnie nosi się ze zdjęciami przed stawiającymi kosiarzy w trawie sięgającej im wyżej pasa. Okazało się że takie pozytywne składniki ścieków „Boruty” jak chlorek potasu, azot i fosforany mają przewagę nad zasilaniem, które w warunkach naturalnych podlega ostatecznemu rozcieńczeniu.

Ale nie skończyło się na tym. Doświadczenia PGR Nabelnica nie miały bowiem za sobą autorytetu i patentu naukowego. Przemysłowiec się więc obecnie nad uruchomieniem nowego, specjalnego ośrodka doświadczeń. Kiedy ma on powstać? Ba! Tego dokładnie nie wiadomo. Przewiduje się. Myśli...

W sprawie, która od pierwszego projektu prof. Bagińskiego ciągnie się już prawie 10 — odwołała się wreszcie „Boruta” do decyzji Min. Przemysłu Chemicznego. Wiceminister Kozłowski przekazał sprawę do „Biprowodu”. W piśmie Biura Projektów Gospodarki Wodnej i Ściekowej przy Min. Przem. Chemicznego przesłanym w dniu 22.III.62 r. do „Boruty”, czytamy: „Zwracając dokumentację projektową i sprawozdania z badań i konferencji (następuje wymienianie w wielu punktach) informujemy o nawiązaniu do treści naszego pisma (następuje okropnie długa sygnatura), że sprawa przerzutu ścieków ma być powtórnie rozpatrzona podczas konferencji mającej być zorganizowanej przez CUGW z udziałem przedstawicieli Prez. WRN w Łodzi i Prez. RN w Łodzi. Istnieją przesłanki, że decyzja korzystna będzie dla „Boruty” i zgodna z dotychczasowymi staraniami”.

Tymczasem dyrekcja „Boruty” dowiaduje się — post factum — że MRN w Łodzi wydała zalecenie opracowania projektu oczyszczania ścieków łódzkich i rozbudowy urządzeń do przerzutu nad Ner „bez uwzględnienia ścieków miast satelickich”.

Jednocześnie dostaje pismo z WRN stwierdzające, że „nie istnieją żadne przeszkody wykorzystania ścieków „Boruty” do uzyskania łąk nad Nerem”. Podczas kiedy w Łodzi trwa konflikt, w Warszawie na specjalnej naradzie w Min. Rolnictwa, inż. Gerlicz jako obserwator z ramienia „Boruty” słyszy o wspaniałych planach: że przewiduje się nawodnienie ściekami Łodzi i miast satelickich 13 tys. ha użytków zielonych, 13 tys. ha gruntów ornych i 3 tys. ha lasów. Że pierwszy etap budowy przewiduje się na lata 1965-70. Że całkowity koszt inwestycji — 970 mln zł, zwróci się po 16 latach.

Obserwator z „Boruty” słyszy też, że to wszystko nie jest nawet projektem ale dopiero projektem do założeń. Że poza Min. Rolnictwa muszą się w tej sprawie wypowiedzieć jeszcze: Min. Gospodarki Komunalnej, Min. Przem. Chemicznego i Państwowa Inspekcja Wód. Obserwator z „Boruty” zaczyna powoli rozumieć dotychczasową powściągliwość naukowców i ekspertów. Inwestycja na skalę państwową. Po co niebacznie wkładać palec między tak ciężkie drzwi?

Stąd wszyscy stają się nad wyraz ostrożni. Wyszukują wątpliwości. Nikt nie chce i nie może wydać pochopnych decyzji. Że na pewno „tak” lub na pewno „nie”.

Rzuciła się „Boruta” jak kamień w fale nowej, porywającej koncepcji. Wokół tego kamienia rozbijają się koncentryczne kręgi na powierzchni. Są coraz dalej i dalej, rozszerzają się i gubią zarazem, obejmują coraz to nowe instancje, instytucje, wywołują coraz to nowe konflikty. Rzuciła się „Boruta” w brudną, śmierdzącą wodę ściekową. I została na dnie. Pewnie — jak się ktoś tak po diabelsku nazywa...

Kiedy po jakimś czasie powróciłem do Łodzi poinformowano mnie, że przynajmniej na tym jednym, łódzkim szczeblu nastąpiła zgoda. Zainteresowani dotąd konfliktowo kontrahenci z WRN i MRN uznali konieczność wspólnego, zgodnego działania. Za jego podstawę przyjęło tzw. wariant II — czyli projekt przewidujący jednolite urządzenie ściekowe wspólne dla miasta, osiedli satelickich (Zgierz, Pabianice) i fabryk. Inż. Sędzikowski z Biura Projektów Budownictwa Komunalnego pokazywał mi mapę okręgu łódzkiego, na której grubymi, czerwonymi krechami zaznaczone były główne ujęcia ściekowe — kanały, którymi w przyszłości popłynęłyby ścieki zanieczyszczone „Borutką”. Popłynęłyby one w pełnej zgodzie narodowej. Tak jak dotąd była kością niezgody, teraz przyczyniła się będzie do konsolidacji. Przynajmniej na łódzkim, wojewódzkim, szczeblu.

Bo jak z „wariantem drugim” będzie wyżej — na razie nie wiadomo jeszcze. Wprawdzie „wariant drugi” uzyskał 9 stycznia br. aprobatę Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego, wprawdzie Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej opracowało brulion uchwały, którą pragnie przeformułować przez KERM, wprawdzie korzyści społeczne i gospodarcze z unieszkodliwienia łódzkich ścieków są niewątpliwe — wielkie koszty inwestycji nie pozwalają snuć prognoz na najbliższą pięćdziesiąt lat.

Sama budowa olbrzymiego kanału ściekowego od Zgierza do Pabianic i dalej w okolice Neru kosztować ma ok. 100 mln złotych. Oczyszczalnia na końcu kanału szacowana jest na 400 milionów. Cóż w tych wymiarach znaczy suma 30 milionów posiadana przez „Borutę”? Tyle co nic.

Dlatego też — chociaż początek końca w projektowaniu nowych urządzeń stał się już konkretnym planem — „Boruta” przestała być najważniejszą. Przestała się ze swoimi ściekami liczyć. Osiadła też jej aktywność.

Teraz dla odmiany najaktywniejszą rolę przejęły miejskie i wojewódzkie instytucje. Poparli je autorytetem swego wystąpienia na IV Zjeździe PZPR i sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii — Stefan Jędrzejczak. I sekretarz KW mówił ze zjazdowej trybuny: „Cieszy nas wzrost nakładów melioracyjnych w przyszłym 5-letcu o 85 proc., natomiast martwi fakt, że mimo starań władzy wojewódzkiej i miasta Łodzi nie są wykorzystane ścieki łódzkiego okręgu przemysłowego. Mogłyby one dać rolnictwu 7,5 tys. ton azotu, 7 tys. ton fosforu i 1.800 ton potasu... Pełne rozwiązanie tego problemu dałoby około miliona kwintali dobrego siana, ponad 100 tys. ton okopowych, ok. 10 tys. ton rzepaku i wzrost innych kultur o łącznej wartości 260 mln zł”.

Tymczasem wokół „burackiej sprawy” panuje dotychczas cisza. Nie wiadomo co gorzej: pierwsze, łódzkie kłótnie, czy ta obecna cisza?

Przeglądając 200-stronicowy skoroszyt z aktami „burackiej sprawy” trafiłem na protokół posiedzenia Wydz. Rolnictwa Prez. WRN, który m.in. odwołuje się do jakiejś konferencji u prezesa Majka, która już 18.IV.1959 r. rozstrzygnęła wszystko...

Hej, iza się w oku kręci. Już wtedy rozstrzygnięta i do dzisiaj wciąż rozstrzygana. Wciąż czekająca na decyzję. Bo rozstrzygnięcie i decyzja to dwa różne pojęcia. Decyzje muszą zapaść wyżej.

Oby prędzej. Na przykładzie cierniowej drogi projektów „burackiej sprawy” może okazać się, że prawdziwe kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, kiedy zaczyna się coś rzeczywiście robić, nie zaś wtedy, kiedy pisze się felietony i uprawia — zawsze wdzięczną — krytykę.

Może okazać się — ale okazać się nie powinno.

STEFAN KOZICKI

LISTY I REDAKCJI

LIST Z SIERADZA

W naszym Rynku stoi piękny budynek, własność PSS-u. A w tym pięknym budynku całe pierwsze piętro zajmuje tzw. „świecica”. Jest to duża, widna sala, idealnie pasująca na kawiarnię czy klub prasy. Ale nie jest ani jednym ani drugim. Jest natomiast autentycznie zamknięta na „cztery spusty” i to przez okragły rok.

Ciekawe, że miejscowi czynnik nie dostrzegają takich spraw, i jak w tym przypadku, pozwalają na rażące marnotrawstwo, zwłaszcza w dobie obecnych trudności lokalowych.

Przecież w Sieradzu jest sporo inteligencji, dużo młodzieży, wojskowych. Trzeba tym ludziom zapewnić jakieś możliwości godziwego spędzenia czasu. Ekonomika, baza, owszem, rzecz chwalebna, ale nie zapominajmy o nadbudowie. Warto, aby o tym pomyślały kompetentne czynniki.

To tyle, Panie Redaktorze. Rzecz idzie o jeden klub czy kawiarnię, a tyle krzyku. Tak, tylko że w wymiarach Sieradza dobrze urządzony klub prasy to ogromnie dużo!

HALINA MIĘSKA

OPERA, OPERETKA...

Redakcja „Odgłosów” powinna poświęcić duży artykuł „Operze Łódzkiej”, bo to przecież właśnie w październiku mija 10 lat od czasu pierwszego przedstawienia „Straszno Dworu” Moniuszki, pierwszej premiery operowej w Łodzi. Od tego czasu bardzo dużo się zmieniło, opera bardzo się rozwinęła i okrzepła, pozyskując jednocześnie wielu wybitnych ludzi opery, takich jak: dr Latoszewski, M. Woźniak, J. Orłowski, L. Skowron, a ostatnio W. Borkowski. Takim ludziom i wydarzeniom powinien być poświęcony duży artykuł w „Odgłosach”, nie należy zapominać również o drugim łódzkim Teatrze Muzycznym — operetce, gdzie również dużo się zmieniło na lepsze i należy od czasu do czasu wspomnieć o ciekawych wydarzeniach na łamach „Odgłosów” o tym teatrze.

Zasylam życzenia owocnej pracy dla całego zespołu redakcyjnego.

KAZIMIERZ FRONCZAK
p-ta Sulmierzyce koło Radomska, wieś Elików

PEDAGOGICZNE KAWIARNIE...

Z satysfakcją przeczytałem felieton-reportaż Feliksa Bąbola pt. „Deficyt”.

Morze, atramentu, hektary papieru zapisano już w poszukiwaniu panaceum na dręczącą chorobę społeczną — chuligaństwo młodzieży.

Moim zdaniem autor „Deficytu” pierwszy chyba odkrył nie znaną i nie docenianą przez ogół akcję wychowawczą prowadzoną przez załogi kawiarni łódzkich.

Nieefektywna to, ale jakże celowa i pożyteczna praca!

J. NOWAKOWSKI

KŁOPOTY Z HISTORIA...

DO NACZELNEGO REDAKTORA
„ODGŁOSÓW”

Szanowny Panie Redaktorze!

W książce mojej pt. „Widzewski królik”, której fragmenty był Pan uprzejmy drukować swego czasu w „Odgłosach”, na str. 211 znalazł się passus następujący: „W fabryce panoszył się dyrektor Oskar Klikar, jak później się okazało, jeden z przywódców NSDAP w Polsce”. Stwierdzam, że zdanie to, jak i cały dalszy ustęp w stosunku do nieżyjącego już Oskara Klikara nie odpowiada prawdzie.

Proszę o zamieszczenie powyższego w Pańskim poczytnym piśmie gwoli satysfakcji należnej rodzinie zmarłego.

Z poważaniem

ANDRZEJ IZERSKI

MIOD I CUKIER...

Dwa miesiące temu wysłałem do Redakcji swoją opinię o „Odgłosach”, odpowiadając na apel skierowany do czytelników.

Z ogromną przyjemnością muszę stwierdzić, że w tym okresie „Odgłosy” stały się znacznie lepsze (przynajmniej moim zdaniem). Daleki jestem od przypuszczenia, że moje propozycje przedstawione w poprzednim liście w jakimś stopniu spowodowały te zmiany, ale mam sporo satysfakcji widząc, że większość korzystnych zmian pokrywa się z tymi propozycjami.

WALDEMAR BIEŻANOWSKI

Łódź, ul. Uniwersytecka 24/77

KTO WAS SŁUCHA, SAKSOFONY?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

Tymczasem jednak słoń jest snobem, więc podczas dwudziestominutowej przerwy w koncercie dopada mnie w komnatach Filharmonii Narodowej i z głęboką powagą na czole, słowo w słowo za programem, wali mi w ucho:

— Szczęście mamy! Zamiast symfonii „Les Echanges” Rolfa Liebermana na sześćnaście sprężonych maszyn do pisania, osiemnaście do liczenia, osiem automatów liczących, dwanaście dziurkaczy biurowych, dziesięć kas kontrolnych, osiem sklejarek, osiem dalekopisów, dwa metronomy, cztery dzwonki sygnalizacyjne, dwa gongi do drzwi wejściowych, dziesięć klaksonów, sześć aparatów telefonicznych, czterdzieści odbiorników poszukiwawczych, jeden powielacz i jeden dźwięk — usłyszmy transkrypcję jazzową tego arcydzieła na dwie perkusje i... — pojechał słoń palającym wzrokiem za wytwornie ubraną, blond włosą dziewczyną i nieobecny już przy symfonii myślami jednym tchem, automatycznie, dokończył — preparowany przy pomocy gwoździ, śrub, pociętej dętki rowerowej, filcu, sznura i kleju fortepian.

— Wywinąłeś z nią? — wskazałem na dziewczynę.

— No, maaaasz!

Leciał jeszcze za mną, gdy na trzeci gong ruszyłem do drzwi. — Może znam ją, może z Łodzi, chciałby poznać...

— Skup się, bracie, na muzyce — poradziłem. — Oczyść myśl.

Widziałem go później na scenie pod samymi piszczałkami organów, bowiem za plecami orkiestry stało pięć czy sześć rzędów krzesel, z których twarzą do własnej ciwej, szarej publiczności słuchał koncertu muzyki, ich żony (bądź dziewczyny), przyjaciele i paru takich jak on snobów: nie proszonych, nadstawiających swą wątpliwą wrażliwość na ryzyko wyproszenia. Muzycy, ich żony (bądź dziewczyny).



ny), przyjaciele i snobi wyglądali na scenie, jak chór, który, zaraz zaniechanie śpiewać oratorium. Koncert dobiegał prawie końca, a mój sąsiad jeszcze się głowił, co to wszystko, do cholery ma znaczyć!

— Panie — tłumaczyłem — chodzi o to, aby ten muzyk, co stoi do nas tyłem, w wyswieconych, niezaprasowanych na okazję spodniach mógł powiedzieć: „Przebież obracając się plecami do publiczności patrzyłem w twarz przyjaciół. W ten sposób grzech, za który wylądował się z Estrady (chyba, że się jest Armstrongiem) widać mu w Filharmonii płazem.

— Pewnie ma pan rację — zgodził się sąsiad i wbił zaciekawiony wzrok w szczupłą, diabło przystojną twarz Kühna, który się właśnie pojawił. Rolf jest wybitnym zachodniomiejscowym kłanistą. Występował z Cateriną Valente, grał w osławionym, nowojorskim Birdlandzie, zaś na przełomie lat 1958/59 współpracował z big-bandem Benay Goodman. Jeśli wierzyć Featherowi, jednemu z największych autorytetów od spraw jazzu, trzydziestoletni Niemiec (wygląda o wiele młodszy) należy obok Buddy'ego de Franco i Goodman'a do najlepszych żyjących kłanistów świata.

— Bomba — powiedział ktoś za mną, kiedy sfrunął z kłanisty pierwszy dreszcz aut.

Kühn grał z zamkniętymi oczami i dala od mikrofonów. Krótkimi, nerwowymi frazami wytwarzał atmosferę maksymalnego napięcia. Twarz muzyka, puchła od wysiłku, a z czoła rzucał się pot. Jeden, dwa, trzy chonusy — z triumfującym, rozbrojonej góry kłanisty spada w piano i akompaniament sekcji staje się dyskretny.

— Jest ślicznie ostrzyżony — słyszę z trzeciego rzędu szept dziewczyny.

— I cudownie zgrabny — stwierdza inna.

Z cichego, upowietrzonego tonu kłanisty Rolfa znówu wchodzi w forte. Szepty milkną. Koniec utworu. Radość! Brawa! A po brawach:

— Ma włoskie spinki i angielską nylonową koszulkę...

— Sa w PKO po osiem dolarów.

— Chwała! Po trzech praniach wysiada kolnierzyk...

Rolf gra z zamkniętymi oczami i z twarzy cieknie mu pot. Otaczają go paparazzi. Z przodu, z tyłu i z boków. Jest ich kilkunastu. Amatorzy i zawodowcy. Ubrojeni różnie: jedni w małe, prymitywne aparaty, inni w lśniąco, monstrualnych kształtów obiektywy. Wciąż zmieniają pozycje, wciąż zderzają się z sobą, i z publicznością. Stasowani jak karty w rękach szulera. O, ten, w ciuchowym szarym garniturze wpięra mi znieczarna kciok w brzuch, psst... i już go nie ma. Inny walczy w pozycji leżącej. Jeszcze inny wtargnął na scenę i tak bezczelnie zbliżył się do

Kühna, jakby był piątym muzykiem zespołu. Frazy Rolfa mieszają się z suchym trzaskiem przekraczanych rolek i chichotami, którymi połowa widowni częstuje operatora kamery filmowej wdrążonej między rzędy. Napięcie słabnie. Ostatni utwór ucieka uwadze. Kühn, który był najmocniejszym akcentem pierwszego festiwalowego koncertu kończy swój występ oficjalny. Oficjalny, bowiem ma jeszcze przed sobą jam-session — długą, pełną muzyki noc.

2.

Jestem już w środku: w klubie SPAM, przy ulicy Kruczej. Z obszernego hallu patrzę przez oszklone drzwi na wysiłki tych, co zostali na zewnątrz. Kilkanaście osób, dwóch rozgęstykulowanych, z żalu Islandczyków, paru znajomych twarzy z Łodzi, paru oburzonych do żywego tubylewów. Błaganiem, groźbami, przy pomocy protekcji i przynudku przeciekają powoli i uszczęśliwieni mieszają się z tłumem. O północy nie ma przed wejściem żywej duszy. Młodzian pełniący obowiązki portiera otworzy za chwilę drzwi i nie zamknie ich aż do wczesnego ranka, bo nikt więcej nie przyjdzie — to jasne, a świeże powietrze się przyda.

Kiedyś — pomyślałem — było nie tak. Sześć lat temu jeden portier nie wystarczał.

Przypominasz sobie tamte czasy? Ciasne piwnice Krakowa, jazz-cluby Lublina i Łodzi, trzeszczące pod naporem tłumy podwoje warszawskich Hybrydów? Pamiętasz łódzkiego Piastusa (Janusz Pietrzak było mu na serio), co — gdy los nie sprzyjał — umiał słuchać cierpliwie pod oknami; aż do brzasku; aż przebrzmiała ostatnia szorstka nuta? A setki jemu podobnych?...

Wszedłem do sali, w której grali i rozjeżdżali się po twarzach. Większość słuchaczy stanowili muzycy. Wśród nich także łodzianie: dwudziestoletni Włodzimierz Gulowski (gra z kwartetem niekoronowanego księcia polskich jazzmenów — Złyszka Namysłowskiego. Występował we Włoszech, NRF i Belgii; parę dni temu wrócił z Anglii, a za cztery doby zagra w czeskiej Pradze), rówieśnik Włodka — Michał Urbania (dmuchał w New-Porcje, z tej samej sceny co Coltrane i Armstrong), Alfred Banasiak (pierwszy tenor orkiestry radiowej), Mirosław Kaczmarek, Stanisław Krawczyk i paru innych, pomniejszych, niewartych — na razie — wspomnienia.

Zastanawiam się, co by robili dwudziestoletni: Włodek i Michał, gdyby nie przesieknęli jazzem w czterestym roku życia, gdyby dziś byli w tym wieku. Czy jak większość nastolatków poszliby na lep big-beatu? Grali twisty? Śpiewali? — Pytam ich o to.

— Jazz!

— Ale — mówię idzie się za tym co modne. Co najlepiej przechodzi i płaci. Z jazzem teraz gorzej niż z klasyką — trzy „czyste” imprezy na tusty rok. A ile lat trzeba, żeby błysnąć? Ile trudu?

Mówiłem jeszcze o perkucach, rozklepianych (męskich i chłopięcych) głowach, analfabetach od gitar i saksofonów, o śpiewakach ye, ye, ye, i szybkich kar'erach, jakie robią na bazie trzech prymitywnych akordów. I o salach wymiecionych z jazzu przez twist. O tym, że nikt z piętnastoletnich nie wie, kto Davis, a kto Parker. A skąd narybek?

— Z nas! Drugie pokolenie — nasze, dzieci!

Śmiałem się, a oni razem ze mną. Nagle Michał wskazał na estradkę:

— Popatrz, Flavio i Franco Ambrosietti! Ojciec z synem!

Senior Flavio — elegancki, czterdziestoletni mężczyzna — gra na altowym saksofonie z temperamentem młodzika.



Wbrew fonetyce nazwiska jest Szwajcarem. Wbrew kolosalnej technice i wrażliwości nie jest muzykiem zawodowym.

Podobnie Franco, który w grze na trąbce osiągnął chyba pułap doskonałości (uważany za najlepszego trąbacz Europejskiej gwiazdy numer jeden tegorocznego warszawskiego festiwalu) nie stawia na jazz, jako dożywnie źródło dochodów. Papa Ambrosietti ma fabrykę, więc Franco ma woz marki Alfa-Romeo i gwizda na propozycje amerykańskich menagerów. Gwizda także na gwałtowny spadek zainteresowania hard-bop'em, z którym wiąże się spadek wysokości zarobków.

Ale nasi chłopcy nie gwizdają. Nawet na tych kilku snobów, którzy... po co tu przyszli? „Kontemplować” jazz?

Ten długowłosy, czerwonousty poeta, z twarzą okrągłą jak pieniażek, pochylający się od dwu godzin nad wielką pachnącą papieru — pisze. Oczywiście w duchu beatników. W powietrzu gęstym od dymu i zderzających się nut skraca sobie drogę do nagrody Nobla.

Tych parę pięknych, eleganckich modelek



w towarzystwie nadzianych figusów w nylonach, lakierkach i marynarkach made in USA zaraz wyjdzie. Nie, nie zupełnie. Do sąsiedniej sali. Tam jest całkiem klawo: wina, wódki, koniaki, barszczyk i paszteciki, swobodnie, cichutko i luz.

No, więc jestem tam tuż za nimi i rozglądam się po sali. W rogu blizszy jakiś znajoma twarz. Skąd? — Z Łodzi! Jasne, że z Łodzi! Przecie to Zarówa, pardon: panna Zarówa; dziewiętnastoletnie niedorozwinięte dziewczę, co zamiast siedzieć w szkole, albo uczyć się w domu, oscyluje między łódzkim klubem studentów a mieszkaniem panów... nie, nie powiem jakich panów, i przekracza czasami dostojne progi „Honoratki”.

Tydzień temu Zarówa, pardon, panna Zarówa wygrażała się jednemu prawnikowi, że, niech ją gęś kopnie, ale aktorka zostanie! Czyżby zmieniła zamiar? — myśle. — Czyżby chciała śpiewać albo grać na flecie?

Ależ tak! Wszakże po dwu długich nocach, które przesiedziała w tej barowej (nie, tej gdzie grali) salce, udało jej się wreszcie wzbudzić zainteresowanie pewnego trzeciorzędnego klezmera i dzięki temu jej poprzedni, okazjonalny opiekun: ciżek klif, młody szpenio, na medal — odetchnął z ulgą tracąc słodki ciećzar, i nie musiał już mówić znajomym: „Dwie dychy i popalić temu, co ją wyrwie”.

Atoli był na jamie facet mógący (według niektórych dziennikarzy) ustawić Zarówę tak się patrzy. Perkoś go wołają (nieleżne, zmitologizowane fakty z życia tego chłopca znajdziesz w tygodniku „Kultura” z dnia 3.X.1964, w reportażu poświęconym arcyzulerom, złodziejom i sutenerom). Zucha przedstawił mi kolegą muzyk w sposób następujący:

— To Perkoś, o którym ostatnio pisałeś.

— Czytałem — powiedziałem przypochlebnie.

— Nie wierz w te bzdury! — poprosił Perkoś.

— Ależ skąd. Jasne, że nie wierzę. Zresztą to nie bzdury, a mity.

Myślałem, że na tym rozmowa się skończy, ale Perkoś wyczuł we mnie słuchacza i rozgadał się jak stara baba:

— Żadnej stajni nie miałem i jak żyję nie wziąłem od dziewczyny pieniędzy. Owszem — robiło się to i owo: seksualne podwieczorki, balety... ale nie dla zysku, a sztuka dla sztuki. A, że tam jakaś znajoma naciągająca czasami frajera? Co to mnie obchodzi!

Perkoś też jest dwudziestolatką. Od dłuższego czasu gra na barabanach, a od roku — jako muzyk — „nieźle się zapowiada”. Ma dość sympatyczną, pulchną jak aniołki Rubensa buzię i ani groza w kieszeni. Z taktem naciaga na usługi (papierosy). Wyczuwając, że uwierzyłem w jego niewinność (uwierzyłem naprawdę!) zaczyna się niepokoić. Tkwi zapewne w przekonaniu, że imponować może tylko jako sutener, bo raptownie zmienia taktikę i usiłuje uratować coś z mitów; gdy wątpię w istnienie penów płacących po dziesięć dolarów za seans, przerywa mi głosem i stanowczo protestuje:

— Nie masz racji! Był jeden co dawał piętnaście funtów. I bez baletu! Za samą patelnię!

— Coś podobnego?... — dziwię się grzecznie i opuszczam Perkośa. Chcę przez chwilę być sam, by posłuchać i pomyśleć.

* * *

Jazz jako zawód — nie istnieje. Jeszcze kilka lat wstecz było w Polsce kilkudziesięciu instrumentalistów egzystujących wyłącznie z tej muzyki i to egzystujących nieźle, ale dziś już takich nie ma. Aby zarabiać, trzeba grać wszędzie, jamy, twisty, walce z wilekich orkiestrów, podkładziki pod refreny, obereczki, kujałki... Konieczność tę spowodowało masowe odejście słuchaczy od jazzu — kompletny brak odbiorców.

„Przesadzasz — powie ktoś. — Wszak tego roku w Filharmonii było tłoczno”.

Zgoda, ale kto zapychał salę? W pięćdziesięciu — co najmniej — procentach wieloosobowe wydziały starych jazzmenów z Wybrzeża, Lublina i Śląska, Kra-



kowa i Łodzi, i całej reszty Polski. Zaś druga połowa — po odliczeniu muzyków, krytyków (nie bez wyjątku), paru zainteresowanych jazzem piosenkarów (Dudziakówna, Fryderyka Elkana) i „szpeców od muzy poważnej” — ludzi typu: Perkoś, czerwonousty poeta, Zarówa, eleganckie (i piękne) panie oraz figury (w nylonach i ciuchowych marynarkach). Do tych, jeśli nawet wyjęli z użu palce, nie dotarła jedna dziesiąta granych dźwięków. Co ja mówię — jedna setna. Na koncertach nie czuło się tego, ale tam, w SPAM, na jam session — nadto dobrze.

Tak to sobie właśnie myślałem, a w opustoszałej salce przy ulicy Kruczej na lejach trąb i saksofonów grał świt, wciąż jeszcze szarpany nerwowym skowytami blachy.

Alt Namysłowski idzie w górę i plusje w białawy sufit setkami perlanych nut. Osemki, szesnastki — wciąż więcej i więcej — odnosił wrażeń, że wpadają na siebie. Były szorstkie i pulchne, delikatne i wulgarne — w końcu frazy przechodziły w miękki tryl...

Po nim znówu syczała blacha. — Jak wąż, kiedy się gniewa.

ANDRZEJ MAKOWIECHI

25 marca 1945 roku amerykańska flota wojenna dokonała ataku na wyspę Okinawa. 56 tysięcy żołnierzy japońskich miało przeciw sobie 180-tysięczną armię wroga.

O świcie na morzu rozwarło się piekło. Scigacze, torpedowce, krążowniki... tysiące bomb... ogień... dym. Na zamku Shuri generał Mitsuru Ushijima analizował sytuację. Dla Japonii Okinawa znaczyła ostatnią szansę — albo atak amerykański zostanie zatrzymany, albo skończy się chwila Imperium. Chwila gorącej dyskusji i rozkaz generała: pułkownik Jin przygotowuje swoich kamikaze. Jutro o świcie wyda rozkaz ataku. Porucznikowi Hiromori, bezpośredni zwierzchnik — pułkownik Jin, niósł rozkaz śmierci.

Pułkownik Naomichi Jin mówił o tym w małym gabinecie dyrektora przedsiębiorstwa handlu żelazem. Ma lat 53. Skromnie ubrany, przypomina raczej chłopca przybyłego z dalekiej prowincji. W tamtych dniach był dowódcą pilotów Tokubetsu Kogeki Tai — taki był oficjalny tytuł kamikaze — co znaczy: „Oddziały specjalnego ataku”, a w skrócie Takko-Atak specjalny.

Pułkownikowi Jin, jednemu z najlepszych znawców wojennego rzemiosła, powierzono losy „pilotów śmierci”. Kiedy tego smutnego ranka przybyłem na lotnisko Naha — mówił plk. Jin — porucznik Hiromori, zawsze w pogotowiu, natychmiast zrozumiał cel mojego przybycia. Powitał mnie na progu głębokim ukłonem. Nie chciał wobec zwierzchnika ujawnić wzruszenia. Natychmiast udał się do swoich podkomendnych i przekazał im rozkaz.

Jutro o świcie wystartuje z Naha 10 ludzi wraz z porucznikiem. Pilotów przygotowują maszyny, napiszą ostatnie listy do rodzin. Nie będzie żadnego pożegnania, nie otrzymają dodatkowych racji żywności. Trzeba pamiętać, że w Japonii panował wtedy głód. W oczekiwaniu ranka pilotów czytali poezję i śpiewali pieśni.

— Kamikaze — mówił dalej pułkownik — nie byli egzaltowani, jak można by sądzić. Żyli w stałej zadumie, w smutku. Znajdowało to wyraz w ich pieśniach i poezjach, jakie czytali. Nie zapomnę nigdy słów poety z tego okresu, Ishikawy Tokoboku: „Pewien człowiek jest na plaży... obok mnie... oczy jego pełne łez... wskazuje na piasek, który ucieka przepływany przez fale”.

24 marca o 4 rano Hiromori obdziałł towarzyszy. Pilotów wciągnęli kombinatory, zapalił helmy przepasane wstęgą — symbolem odwagi samurajów, wypili filiżankę saké i udali się do maszyn.

Około godziny 5.30, kiedy wschodziło słońce, dziesięć maszyn kamikaze wzbiło się w powietrze.

Widziałem jak leciał w kierunku oceanu i amerykańskich okrętów...

A potem, gdy cel był blisko, porucznik Hiromori zakolysał maszyną. Był to sygnał ataku. 10 japońskich samolotów jednocześnie runęło z nieba. Niektórzy spadali wprost na pokłady okrętów, inni eksplodowali w powietrzu.



KAMIKAZE

Atak był zwycięski. Największa akcja oddziałów kamikaze miała miejsce 6 kwietnia. 355 powietrznych samurajów zaatakowało flotę nieprzyjaciela w zatoce Yagacchi. Nie powrócił żaden.

Samoloty kamikaze nie miały łączności radiowej. W chwili, gdy kółła maszyn oderwały się od ziemi, towarzyszem pilotów była tylko śmierć.

W wyniku tego ataku 28 jednostek floty amerykańskiej zostało zatopionych, a 225 — odniosło poważne uszkodzenia. Ale wojska alianckie atakują dalej. Wyspa jest zagrożona.

Oddziały kamikaze powstały w momencie, kiedy dni chwali Japonii dobiegały końca.

Po raz pierwszy 22 września 1944 roku, oddział 15 „Zero”, dowodzony przez Usaburo Suzuki, dokonał ataku na amerykańskie lotniskowce w bazie w Manili. „Zero” to myśliwce. Na pokładzie noszą bombę 250 kg i 2 bomby 50 kg. Zrzucić je celnie z wysokości 2.000 m, pod silnym ogniem nieprzyjaciela, jest prawie niemożliwe. Wtedy utworzono specjalną grupę pilotów, którzy ofiarą dobrowólnej śmierci mieli zniszczyć wroga.

Owczesny szef Departamentu Lotnictwa, Min. Wojny Onishi To-

kijiro wiedział dobrze, że japońska produkcja samolotów nie dołą dorównać amerykańskiej. Rozwiązanie było tylko jedno — rzucić ludzi wraz z materiałem wybuchowym na okręty wroga.

Nie wszyscy oficerowie japońscy podzielali ten pogląd. Wielu uważało, że wprowadzenie na wojnę młodych ludzi, ale nie znaczy to, że zginać trzeba. Aż przyszła klęska na Filipinach. Opozycjoniści musieli zmienić zdanie. Dowództwo Naczelne ogłosiło ochotniczy zaciąg kamikaze. Zgłosiło się wielu. Pierwsi ochotnicy, to piloci sił morskich i powietrznych, a po nich elewi — wykształceni z Aken, Hamamutsu i Mito. Byli to przede wszystkim studenci, którzy w 17-18 roku życia rzucili naukę, by wstąpić do Akademii Wojskowej.

Szkolenie kamikaze trwało krótko. Japonii groziła inwazja. Zresztą 15 lekcji wystarczy, aby poznać zasady pilotażu. Raz znalazłszy się w powietrzu kamikaze nie mieli już innej drogi jak ta, u kresu której, razem z maszyną, trzeba było spaść na pokład wroga. Dlatego nie wymagano od kamikaze więcej, jak tylko umiejętności oderwania się od ziemi i sterowania w locie. Wyposażenie samolotu także było bardzo skromne. Jakież przyrządy były tu po-

trzebne? Ładowania program nauki nie przewidywał. Kamikaze — to piloci bez powrotu. Mundury „pilotów śmierci” nie różniły się od mundurów lotników. Tylko na guzikach mieli kamikaze rysunek kwiatu wiśni, a na rękawach wyszyte kotwicę. Rodziny ich były uprzywilejowane, co wyrażało się w zwiększonych przydziałach żywności, a podczas uroczystości państwowych przysługiwały im pierwsze rzędy krzesel.

Wielu chłopców zdawało sobie sprawę z sytuacji, w jakiej znajdowała się Japonia. Jeden z pierwszych kamikaze, Masakisa Uemura, pozostawił te słowa: „To wspaniałe spadać jak orzeł na nieprzyjaciela, choć iży zalewają oczy, a gardło dusi strach”.

Niebawem okazało się, że szkolenie pierwszych kamikaze nie było prawidłowe. Zostali wszyscy zestrzeleni, gdy tylko pojawili się na horyzoncie.

Pułkownik Jin wyjaśnia: „Żadna akcja podczas dnia nie była zwycięska. Najlepsza pora, to wieczór i ranek. A trasa przelotu odgrywa także niemałe znaczenie. Musi być bardzo krótka — najwyżej 50 km. Tylko małe samoloty startujące o zmierzchu lub o świcie miały szansę sukcesu. Inna sprawa to wyliczenie wysokości z

jakiej należało spadać na wroga. Niestety, tego wszystkiego nauczyli nas ci kamikaze, którzy padli w pierwszych działaniach. Później, dając rozkaz ataku określałem dokładnie wysokość i sposób, w jaki należało nachodzić na cel. Kamikaze musieli dokładnie trzymać się instrukcji, aby nie tracić niepotrzebnie cennych maszyn i ładunku wybuchowego” (1).

Zaciąg ochotniczy dał 4.500 „pilotów śmierci”, z których 2.500 zginęło. Ale tylko 475 potrafiło zatopić jednostki nieprzyjacielskie. Reszta została zniszczona zanim zbliżyła się do celu. Byli i tacy, którym zabrakło paliwa, bo źle obliczono odległość.

2.000 pozostałych kamikaze nie zdążyło wejść do akcji. Gineli dokonyując harakiri. Tak umarło wielu. Generał Mitsuru Ushijima znając orędzie cesarza, głoszące koniec wojny, przygotowywał się do śmierci. O północy w towarzystwie adiutanta spożył specjalny posiłek. A kiedy o świcie wkroczyli do miasta żołnierze amerykańscy, generał stał w drzwiach kasyna oficerskiego. Miał na sobie mundur polowy — adiutant, biało kimono. Na ziemi obok leżało białe płótno. Obaj oficerowie uklekli na progu i złożyli głęboki pokłon wschodzącemu właśnie słońcu. Adiutant podał generałowi krótki miecz samurajów. Zdumieni Amerykanie chwycili za granaty... Ubiegli ich Japończycy dokonując harakiri... Był to ostatni akt historii wojny.

Wielu kamikaze żyje i dziś w Japonii — ale żaden nie ujawnia się. To, że nie mogli dokonać ofiary uważają za hańbę.

42-letni Kamuri Ishimoto, niskiego wzrostu w okularach, gubi się w tłumie takich jak on Japończyków. Był oficerem kamikaze. Miał wyznaczony dzień swojej śmierci — 18 sierpnia 1944 r. 3 dni przed tym terminem cesarz ogłosił rozkaz wstrzymania ataków kamikaze. Dziś Kamuri Ishimoto mówi o kamikaze: „lepiej żeby umarli, bo żyjąc muszą pozostać w cieniu”.

Kiedy Kamuri Ishimoto miał 22 lata został kamikaze:

— Opuściłem rodzinny dom żegnając na zawsze matkę. Skłoniła się przede mną w milczeniu. Nie płakała, nie powiedziała ani słowa. Przylączyłem się do kolegów. Żyliśmy jak w klasztorze. W ciągłym skupieniu myśli, oderwani od życia. Dziewczeta patrzyły na nas, jak na istoty nie z tego świata — choć mieliśmy te same co inni mundury i tylko biała wstęga na helmie wyróżniała nas z tłumu. Ćwiczenia... modlitwy... Tak zdobywaliśmy spokój ducha. Z rodziną nie miałem kontaktu, do nikogo nie pisałem, byłem przekonany, że moje życie dobiegło już końca. Nie bałem się nawet śmierci — byłem umarły za życia.

15 sierpnia 1945 roku usłyszałem cesarza, ogłaszającego koniec wojny. Wtedy trafił we mnie piorun! Miałem dwie możliwości: albo zwrócić wstęgę kamikaze i wrócić do życia, albo dokonać harakiri. Wybrałem to pierwsze. Ale wtedy nastąpiło najgorsze. Odkryłem w sobie radość życia. Runął sztuczenie wzniesiony świat ducha, gdy cesarz — Bóg na ziemi — przestał być dla mnie bogiem. Ja, kamikaze, nie wykonałem tego, co nakazywał kodeks honorowy samurajów. Nie pojąłem w porę, że żyć dalej będzie dla mnie równoznaczne ze śmiercią. Bo kto umarł wewnętrznie nie może być żywym”.

Jest w Mobeńie miejsce dla żołnierzy japońskich święte. Tutaj wzbija się w niebo obelisk głoszący chwałę „pilotów śmierci”, chwałę kamikaze.

M. TYMOWSKA

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Trzy kilometry przed Rawą Mazowiecką stoi Onufer. Jest wysoki jak rosty mężczyzna, cały obrosnięty wąsami z brodą; każdy włos zakończony trójdzielnym listkiem tak, że z tych listków powstała spódniczka.

Podjeżdżam rzeźbiarza, który go wyrzeźbił, że przerobił grecki listek figowy na mnóstwo listków polskich i dla przyzwyczajenia okrył całego do kolan — bo Onufer jest skromnym świętym. Stoi i oczy ma spuszczone.

Ale gdy odwrócisz wzrok Onufer patrzy na ciebie — wodzi za tobą oczami; — gdy spojrzysz na niego — spuszcza oczy, jak gdyby nigdy nie i udaje siwe, wychłostane wiatrem i deszczem drewno.

Ale Onufer jest chytry — potrafi robić kawały. Kierowca opowiada:

„Kontroler czekał wieczorem na autobus. Padł deszczyk więc schronił się pod daszek (wtedy jeszcze Onufer nie miał plotka wokół siebie). Ciemno — dmie przykry wiatr. Kontrolerowi czas się dłuży — wyciąga papirosa, uderza się po kieszeniach, zapomniat zapalek. Zwraca się więc do Onufra. „Nie masz pan czasem ognia?”. Onufer nic. Więc kontroler zniecierpliwiony: „Daj pan ognia! Coś pan zaniemował, czy co?”. Ale się zorientował, że coś tu nie gra. Trochę mu się włos zjeżył — ustąpił spod daszka i czeka ciutko na szosie. Dopiero nadjeżdżający autobus oświetlił reflektorem Onufra i kontroler ochłonął. Albo wzięto Onufra do pomalowania, bo już wszystka farba z niego zlała. Pokojowy malarz z Rawy

Mazowieckiej położył go w drugim pokoju na podłodze. Miał go jutro pomalować; — zapomniat o nim.

Przyszła znajomy — miał jakąś sprawę właśnie w tym pokoju. Zaledwie wszedł — nagle wypadła z wrzaskiem: „Rany boskie! Trup!”.

Malarz się spietrał — bo wiecie — trup we własnym domu! Więc obydwaj zastrachani wchodzą, ostrożnie, zapalają światło, a tu Onufer leży jak gdyby nigdy nie i skromnie opuszcza oczy.

Taki to chytry! — teraz się z cicha pęk — oczka w dół, a gdy się odwrócisz — obserwuje cię.

Na przedmieściu Rawy rozpięła się grubaśna, ośmiokątna wieża — jedyna pozostałość po zamku książąt mazowieckich (1410) pod nią czworobok z resztek murów. Wchodzący spiralnymi schodkami wewnątrz wieży i oglądamy po kolei trzy (leżące nad sobą) ośmiokątne komnaty, w których znajduje się regionalne muzeum.

Z okien widać: rzeczka wpadająca do drugiej rzeki (Rawkę), domy, ulice, łąki, całe skupiska domów, zagęszczone budynki i jakas kotłownię na placu. To targ.

Bardzo nas to interesuje więc zbiegamy po krętych schodkach i za chwilę przeciskamy się od straganu do straganu. Ciasno! Sto tysięcy razy bardziej niż na Piotrkowskiej w godzinach szczytu. Czym się tu handluje? Wszystkim! A przede wszystkim jabłkami i gruszkami. Całe kosze, stragany, skrzynie, worki — nawet na ziemi piramidy owoców.

Trudno mówić o jakimś poruszaniu się.

Po prostu kołyszemy się wraz z całym tłumem. Zakolysało nas w jakiś ustronny kącik, między murkiem a straganem; — stoi jakiś facet, beret, siwe włosy spod beretu i waciakowe palto, ubrany ciepło — a na nogach letnie sandały.

Zaraz widać — malarz!

I rzeczywiście! Teraz dostrzegamy stos długich obrazów — kawał obrazu! Wściekłe kolory! Bajeczne sarny! Fantastyczne bociany i labędzie! Niesłychane zamki!

Jakiś chłop (czyli na sztuce) chce kupić. Przegląda obrazy: „te sarenki, ładne, te bociany też niezgorsze — jeszcze wśród nich baletnica — jak zachodzące słońce i brzozy, i wierzby, i ruczaje, i pałace! Więc chłop mnie się radzi (o zgrozo!).

— „Panie co widać?” — to mi się nie podoba, tego nie wezmę, bo dużo białego, to mi muchy pos... popaskudzą jak przyjdzie lato; lepiej brać bardziej zamalowane, to nie widać. Co pan myśli? Wzięć sarenki i tego leleńka nad łóżko?” Trochę mi gorąco — jak się tu wycofać bez bólu. Udaje się! Jeszcze na odchodnym słyszę: „opuść pan co z tych czterdziestu złotych”.

Uf! Mam szczęście! Dobijam do auta i w nogi. Wjeżdżamy do domu.

Po drodze — Onufer jak stał, tak stoi pod daszkiem, ale pod jego bezstopnymi nogami siedzi Arcypies. Chcemy się zatrzymać, ale Arcypies macha ogonem, że chce być sam; — zbliża się zima i musi wiele przemyśleć. Więc dodajemy gazu; ale długo jeszcze oglądamy się za nimi, aż znikną za wypukłością drogi.

WACŁAW KONDEK



CZTERY PODWÓRKA

1.

Na podwórku wylegiwał się dziad o płowej wieszce brody. Kury wyciągały dzioby po ziarnka tynku, który w to południe syłał się skruszały. Rozgrzana ściana dodawała żaru stonim, na której leżał dziad, oraz plotowi uciekającemu ku chłodnym ogrodowi. Gdyby nie granitowa ciężkość głazu podwórzowego (nie wiadomo w jaki sposób norweska morena czy tatrzańskie lodowce akurat tu, na tym góskim podwórku, zostawiły jeden ze swych znaków, przecież tu ich nigdy nie było), gdyby nie przynajmniej bezruch wilgotnej kłody dębowej, o którą dziad oparł głowę (żadna kobieta z pobliskich kłitek, nawet właścicielka ogrodu wiedząca wszystko — także to, ile lat na kałesonach ma Natan handlujący owczymi skórkami, nawet jej siostra Kordula — po szkołach przecież! nie wiedziały skąd mógł się wziąć na podwórku ten urzynek dębu, potężny jak odzimek sekwoi), gdyby nie skrawek moczaru, relikt, tu właśnie zakwitający jak niecka żuru — to całe podwórko poślizgałoby w rozgrzane niebiosy, a z nim dziad, pociągany za brodę przez ciąg wstępujący.

2.

Na podwórku wylegiwał się dziad o brodzie z różowej organdy. Ściana kruszejacą wolno ostygła, stygi plot; kury coraz wolniej wyciągały dzioby po tynk i po ziarno (kury to ślepe maszyny: one wyciągają dzioby i szyje z rozpadu; bo skąd mogło się wziąć ziarno na tym podwórku, skoro dziad już dawno wybrał na palce każdą pożywną kruszynkę; tydzień temu chodźł jeszcze po ulicach, zbierał w ściekach ogryzki z jabłek, opróżniał skrzynki z odpadków; ale od chwili kiedy go zmogło to straszne kasanie za mostkiem, i tego zaprzestał. Położył się na środku podwórka, zaczął oddawać ducha jak Sabala na łączce blasku — nawet nie miał fuzji, żeby ją położyć obok siebie jak ten umierający góral, ani ciupagi, ani żadnej Lilpopowej). Moczar był pieszczotliwym, słonecznym nawet tyle nie dawało ciepła, co dynia.

3.

Na podwórku wylegiwał się dziad o brodzie bezwładnej jak bazalt wawelski. Ściana była zimna, aluminiowa, srebrna krętała zgon dnia — i kury przestały dziobać dziada po twarzy... Udały się do swej żywicieli z rozczapierzonymi skrzydłami, omal nóg nie pogubiwszy... Wiedziały bowiem co je czeka; że chleb kruszony i ziarno... Dziad wtedy opuścił szezękę, pozwolił muchom wchodzić do ust; twarz zaszła mu fioletem jak kamieniec zmierzchem. I nie mógł widzieć, że plot nabiera tych subtelnych szarozielonych tonacji jak na makiem śledzia na pustym wieczornym wybrzeżu wystawy sklepowej, ani nie mógł czuć, że robi się coraz chłodniej; znak, że za chwilę mgła wypełni podwórko, nad mgłami roztworzy się noc, milcząca jak wniebowstąpienie, w niej rozpocznie się balet świetlików. Jego, baletu, jeszcze go nie ma, jeszcze noc — a już błąd w moczarach wystukuje swe gudu-gudu.

4.

Ale w nocy przyszła odmiana. I w takim porządku: najpierw trawka na piaskach nadrzeźnionych jęła się ruszać, potem wikliny... Potem broda dziada załopotowała, a z nią jego nogawki... A następnie drzewa w ogrodzie zaczęły rozrzucać jabłka, plot, trzeszcząc, zaczął się rozchodzić w spojełach; wściekle górskie wichry rozszedkały się jak brytany — i naraz spleciony cuchnący jeżor letniego wylewu okręcił się wokół kłody... A zaraz po tym woda zaczęła wypełniać nieckę moczaru. I wicher błyskający złymi ślepiami, jał wstrętnie wył jak hiena w zoo.

Ciało dziada wyniesione na plecach wylewu opuściło podwórko. Za nim wolno popłynęła kłoda... A za nią, cegła na cegle, nikiła ściana, za którą dziad miał swój barłóg.

Tylko głaz nie popłynął w stronę różnowskiego wylewu.

Czyżby chciał się barować z mocniejszą, od tej — powodzią?

Powiedz, deszczu, szeptałszy swe ciągle adagio lamentoso!

(Uwaga autora. Nazwisko „Lilpopowa” w powyższej notatce prozą stała, za nim wolno pisać je, była jednym ze świadków konania Sabaty; według Jalu Kurka).

KONFLIKTY

(Szkic napisany na podstawie akt choroby jednego z mieszkańców sanatorium dla nerwowo chorych).

Małenka fara o wieżach z poóółkowej kości stonowej, dachach zakłakłych ze starości, te same lipy pamiętające „pono” czasy Świrada; szczyrbaty chodnik, placyk, po którym podobno przechadzał się błogosławiony Jan Dukielski, rozmyślający o męczennikach noszących na piersiach Ewangelię, amfiteatr gór, u którego spodu leży miasto.

Jest tak cicho jak po wyjściu z miyna,

Nieczynna jest fryzzeria, nieczynne: próg kościoła, przedproże, nieczynny jest krzyż misyjny, jeśli nie uwzględnić wróblu, to wyskubających nasiona ze starego wieńca, zawieszono na desce INRI u stóp Zbawiciela, to śpiewających na ramieniu krzyża. Nieczynny jest także tragarz, opasany linką, bo śpi na chodniku wraz ze swymi stopami, na których ma wypisane kredą, ile bierze za pót dnia.

Powietrze, wygrzane, stoi bez ruchu.

Fryzjer w kitlu wróblej barwy, siedzi na progu swego interesu, wyskubuje brud spomiędzy palców nogi. Utaça go w gałki, rzuca przed siebie, rozmawiając z sobą.

I naraz zza narożnika wytacza się kolaszka szlifierza, naprawiającego także maszyny do szycia i garnki. Taflę chodnika zaczyna ją trząść, jakby nagle gdzieś za apsydą odezwał się chór drewnianych kolatek, obwieszających szczyt postu... Szlifierz kieruje kolaszkę ku fryzjerni, reklamując zmianierowanym, nosowym głosem inne swe specjalności. A więc roboty z drutu: zabawki dające się rozkładać i składać w rozety, rozgwiazdy, patery na pieczywo i owoce; reklamując łapki na myszy, zgrzebla.

— Czego się drzesz, slyfirzu? — gniewa się fryzjer, kierując wzrok ku butom szlifierza.

STANISŁAW CZERNIK

Oborywanie przepiórki



A ty, przepiórko mała, Tu będziesz nocowała, Pod garsteczką dożętego żyta, Słomianą pościółką okryta, Samiczko żniwa czekająca na samczyka. Kamyk polny w twym gniazdku na dzień, I skórka chleba z wiosennego wypieku, Oto co ci na szczęście przypadnie, Przepiórko praojcowa, sprzed wieku.

A na kółeczko odłogu, Na pole-półko ptasiego połogu, Młodzi podrzucą żniwiarce-panne, Zakolowroczą, kręcąc, obwieszczając dokoła Pod zorze wieczorne i ranne, Tak oborują swoje losy bliskie Jej gołymi, gorącymi nogami, Zacerwienionymi od zórz kolanami. Na wypielonym rżysku Oborują miękkie gniazdko żniwa, A ty, przepiórko mała, W nim będziesz nocowała.

Autostrada

Brzęczały koła po mej bukowinie Wśród świętojańskich, sobótkowych dróg. Kowane koła, koła-starokoła, Jak Starogóra Lysa i Lysica. Niech pieśń ludowa ich pobrzęk przywoła I leśny buk.

A oto dzisiaj nową autostradą Przez bukowinę nie jadę lecz płynę. Wóz nowoczesny mnie niesie, I w pedzie tym przypominam, Jak było młodo i jak sobótkowo W bukowym lesie, W brzęku starokół Koń paraski zdrowo, Batem woźnicy strąconą W twarz uderzała bukień, A droga, góra i buk naokół Drżały kół studiem.

Piękna przemiana starej polskiej drogi! W nowoczesną autostradę, I słusza na mój stary wiek wygoda Ta podróż przygodnym autem. Choć wciąż mnio woła dawna podróż młoda.

Dawna i młoda — więc już poza światem.



fierza, podobnym do olejnych chodaków Świrada w prezbiterium.

— Drem się, bo zaraz przyjdą cię uspołecznić.

— Uspołecznić? — śmieje się fryzjer. — A cóż ja winien, że to ma we mnie trafić? — I przeciera zaspane oczy.

— Coś winien, to nikogo nie obchodzi. Masz być uspołeczniiony i basta! Nie wierzysz? Mogę ci pokazać Befehl.

To powiedzawszy, szlifierz wyciąga z kieszeni upomnienie skarbowe, na odwrocie którego jest napisane nazwisko i imię fryzjera, oraz stoi napisane jak wół, że fryzzeria ma stanowić część Zrzeszenia Fryzjerów.

Biegnie fryzjer po brzytwę, wecuje ją na gładziku, ale nie czyni sobie nic złego... Bo oto staje przed nim letnik w białym hełmie, jak kinowy plantator, za letnikiem trzy letniczki w słomkowych kapeluszach, z oczami zasłoniętymi przeciwsłonecznymi okularami. Ich twarze, nawet w okularach, podobne są do twarzątek anielic z prezbiterium.

— Wiem co chcesz zrobić — rzecze letnik zdejmując hełm kolonialny. — Ja jestem Bóg-Ojciec, a to są trzy moje anielice. Masz być uspołeczniiony!

— Za co, Boże Ojciec? — szeptał fryzjer, i widząc, że to nie przelewki, pada na kolana.

— Za co, to o tym potem — rzecze Bóg-Ojciec. — Ale wpięć powiedz nam, uważasz, gdzie może się znajdować kamień ciosowy, na którym, z berłem i jabłkiem, była wyobrażona moja Osoba? Gdzie może się

tera znajdować grota z ciosowego kamienia...

Struchlał fryzjer, bo sam był za tym, żeby tę grota przerobić na nowoczesny grób Zbawiciela — z lampami jarzeniowymi, magnetofonem wygrywającym pieśń wielkanocną w wykonaniu Chóru Niewiast. Ale się w porę polapał w czym rzecz — i skłamał: — Nie ma tej groty, bo zamurowana.

— Nie jest zamurowana — rzecze Bóg-Ojciec. — Ona jest. W niej tera elektryczny gramofon, świetliówki i przezrocza obracające się samoczynnie. Czego kłamiesz?

— Ja nie kłamię — odpowiada fryzjer. Ale zbiera mu się na placz, bo okazuje się, że Pan nie tylko wie o przezroczach, o czym jeszcze nie wiedział nikt oprócz operatora kinowego, proboszcza i mężów zaufania, ale prawdopodobnie wie także o garażu, osadzonym na kruszywie z cementem. Rzecz więc złorzecząc w duchu plotkarkom, żonom mężów zaufania, i kłamię dalej jak najęty: — Jeżeli Bóg-Ojciec pragnie, to mogę pokazać, że grota cała, choć zamurowana.

— Ty nam nie nie pokazuj, tylko praffię mów — rzecze jedna z anielic głosem gestapowca Hamana, aresztowanego w Bonn (ten gestapowiec trzął życiem i śmiercią Nowego Sącza w czasie okupacji). I aniel-

brał dolary od Świadków Jehowy?... A ja — Trójca Przenajświętsza, więc jestem Duchem Świętym, Bogiem-Ojcem i Synem jednocześnie, czyli Człowiekiem w jednej osobie! Jeśli chcesz, żeby między nami do brzo było, to powiedz trzem Judaszom plebanii: wikarym i proboszczowi, żeby nie kupowali w delikatesach heretyckiego rumu — i nie rozbijali się po cywilnemu na mochochodami!... Bo jak nie...

I Bóg-Ojciec, nie budząc go, odwinął linkę ze śpiącego tragarza, zamoczył ją w wladrze i jał nią wywijać nad głową fryzjera, jak Chrystus; Chrystus przepędzający przekupniów na obrazie w bocznej nawie.

I reka letnika rozpięła się jak obraz w telewizorze, jego twarz zaczęła błyskać jak znaki ryżowe na tarczy słoneca i układać się w falujący obraz abstrakcyjny.

Przetarł fryzjer oczy i słyszy, jakby zmigły, głos pierwszy anielicy: — Zebys ocknął, to jest dla ciebie memento, i z powrotem kazał wnieść posag. I odzignął się od Świadków Jehowy.

I słyszy głos drugiej anielicy: — Ocknął i głosował za przemianowaniem groty na tak jak było.

I słyszy trzeci głos: — Ocknął i przestał zwracać głowę fryzjerce, bo ona jest młoda na taką starą swinię jak ty. Wsty dla córek i dla matki, taka miłosna despotka!

Tu już fryzjerowi ręce zaczęły latać, bo o romansie nie wiedział nikt, nawet jego własna uwielbiana w duchu uczennica — fryzjerka. Położył się więc na brzuchu, rozkrzyżował ręce, ale gdy otwarł oczy, ujrzał letniczki zwieszające ramiona w białym wladnym geście anielic ze świeżo odnowionego prezbiterium — i odpływające wolno w stronę stojącego na placyku powozu. Tam już szlifierz-Archanioł Gabriel pomagał wsiąść Bogu-Ojcu i strofował tragarza zajmującego miejsce na kozle, zanim Pa wsiadł.

Mrugnął kilkakrotnie fryzjer, pomagając i znalazł się w kancelarii proboszcza. Ale ten ofuknął go: — Czego nie zajął swego oleku na nerwy? Zajął się blekotami czy co?... Jeśli ci fizyk zapisał, to zajął co trza. A jak nie, to...

Proboszcz chciał go pogłaskać po głowie. Ale fryzjer znowu swoje; a głos mu chodził jakby trzy osoby w nim mówiły: — Ale jeżeli wydrę ze siebie tę lubość, i jeżeli grota będzie jak było, i jeżeli ksiądz proboszcz to zrobi dla swych wiernych, że nie będzie kupował kubańskiego rumu, to będzie uspołeczniiony czy nie?

— A jeżeli będziesz uspołeczniiony, to ci stary osle?... Zle będzie?... Będziesz miał chorą kasę, rentę na starość, urlop...

— Boże-Ojciec! — ryknął fryzjer do Boga Ojca, zjawiającego się na miejscu proboszcza — to jakże to w końcu de facto?

— Tak ma być, jak ma być — rzecze Bóg-Ojciec i bierze go delikatnie pod brodę. A wreszcie, to o tym po tym. — Tu Bóg-Ojciec zerknął w stronę swych trzech anielic, z których jedna trzymała tęga szprycę wypełnioną środkiem do wlewań dożylnych — i spojrzła rozkazująco na pielęgniarza mającego twarz szatana z obrazu Są Ostatecznego w kruchcie.

Fryzjer spał się do skoku w okno, a nim zdążył wykonać swój zamiar został złapany i przywiązany pasami do łózka. Na tę przemoc odpowiedział strugą wywalających cich, rozwścieczonych błuźnierstw. A potem znielacka zamknął się w sobie jak pústelnik — i wszystko przestało go obchodzić. Nawet gałki brudu układane w szachownicę, nadrealistyczne wzory.

— Koleżanko — rzekł później siwy ordynator do swej asystentki. — Ten biedny fryzjer znowu znalazł się w matni swych przeciwności. Myślałem, że go puścimy nazajutrz, a on znowu „bujny”.

— Czuje się jak stara noga w nowym bucie — zauważył dowcipnie pielęgniarz, rzeczywście podobny do szatana, ale tego, o lubi herbatę z kubańskim rumem.

Na to już wszyscy — i ordynienci, i pielęgniarze, i pielęgniarz, piękne jak aktorki filmowe, i nawet szlifierz z tragarzem, coraz rzadziej miewający chwilę ocknienia, i mający jutro wyjechać z transportem do Dziekanów, wybuchnęli gromkim śmiechem.

...Smętne, ceglane domki z ogrodem pod brym do ogrodu van Gogha w Arles, murami, smaganymi przez te same białe słońca, co w Zakopanem i Złotych Płakach — za waszymi murami rozłamują się z traskiem podobnie splecione fale przyboju, co na obrazie — Góry Lodowej w gabinetie ordynatora.

PYTANIE

Błogosławiona ciszy małych strumyków, błogosławiona siodczyż sadow, mały i słonecznikowy — ty, co wylewasz nam twarz pełną konew woni i blasków jesieni; błogosławiona ciszy śniegów!

Kiedys posiadacie całą trzęsącą ziemię?

MICHAŚ DIOGENES

Nie spał w beczie, lecz na stryszku. Kuchnia miastowa wydzielala mu codziennie menażkę zupy, bo był niespełna rozumny. Burmistrz odwiedziwszy go i zapytawszy o potrzeby jak Aleksander Wielki, odszedł zbyty jak i król Hydaspesu i Eufratu słowami: — Nie zaslaniaj sobie słońca moją osobą!

A przecież człowiekowi, gdy mówi: „pragnę”, wystarczy jedna kropka, a co jeń otrzymał Bogacz od biednego Łazarza. Nie jednemu, choć nie mówi: „pragnę”, wolało wystarcza cała stągiew.

Ale nam wszystkim ślędz spod Łofotów belony, dorady Gwini, holybut z Cer Rybnej, fistaszki z Liberli, soja z H zlotowonne jabłko z Hesperyd, choć gorzka, starczą za smakoliki sztrasbur przywożone codziennie do Nowej Ang przez transoceaniczne odrzutowce,

Film

Od kilku już lat, a w w każdym razie od czasu filmu Alaina Resnais „Hiroshima, moja miłość” i niektórych innych filmów francuskiej „nowej fali” nie ulega wątpliwości, że nowe sposoby i metody narracji, dotychczas właściwe przede wszystkim części współczesnej prozy powieściowej, sztuka filmowa może skutecznie adaptować do swoich potrzeb, przetwarzając je i wchłaniając, wzbogacając i dynamizując montażowy Eisensteina i Pudowkina, i montaż wewnątrzplanowy, i wielopłaszczyznowość narracji Orsona Wellesa. Szczególnie żywe okazały się także nowe, ciekawe możliwości w dziedzinie „otwartej dramaturgii”; film współczesny coraz bardziej odchodzi od opowiadania tradycyjnych „historijek” w dwie naraz strony: obiektywizmu (choć nieraz pozorowanego), „cinéma-verité” i montażowych filmów publicystyczno-społecznych, z dającymi się już odczuć skutkami tych nurtów w inscenizacjach filmowych typu klasycznego — oraz w stronę subiektywizmu (filmu autorskiego, impresji, wielopłaszczyznowej szkieletowości).

Nie można chyba — zresztą i nie trzeba — szczegółowo opisywać nowych sposobów narracji filmowej, gdyż dalsze przemiany i rozwój w tej dziedzinie są dziś bardzo żywe. Nie ulegało natomiast wątpliwości — przynajmniej dla mnie — dotychczas, że zespół nowych filmowo-narracyjnych środków wyrazu, choć dopiero się kształtujący, już ulega swoistemu zawężeniu. Nie istnieją przecież żadne skuteczne sposoby opowiadania o niczym; oprócz nośności samego sposobu narracji zawsze ważna pozostaje jej istotna treść, a w tej sprawie, mówiąc ogólnie w sztuce filmowej świata właściwie nie działa się najlepiej: w sposób nowoczesny opowiadane były na ekranie głównie sprawy, które i nie starożytności, ale o zasięgu dość wąskim — psychologia bohaterów często stawała się wybuchającym psychologizowaniem, dominowała tu dynamiz-

nych Francuzów tematyka frustracji, alienacji, czarnych konfliktów z samym sobą i z otoczeniem, kompleksów, rozwichrzonego erotyzmu, czasem tylko krytyczny spojrzenie, który choć nieraz jawił się, zjawiał się z reguły w indywidualistycznym sosie.

Mogłoby się więc zdawać, że ów zespół nowych sposobów filmowej narracji nie jako z natury swojej nie jest przydatny filmowi zaangażowanemu w sensie socjalistycznym; można było, operując wieloma przykładami, stwierdzić, że „latające narciarzy”, rozbijanie czasu i przestrzeni filmowej, daleko idące elipsy dramatyczne nie są zgodne z nurtem i zakresem tematyki filmowej ogólnie biorąc humanistycznej. Ideowo stojące po stronie socjalizmu i czerpiące natchnienie tematyczne z codzienności tej idei.

Wszystko to sformułowałem w czasie przeszłym — miałem bowiem okazję ostro obejrzeć dwa filmy młodych reżyserów, debiutujących dopiero w filmie fabularnym, dotychczas praktykujących — i to niezbyt długo — w różnych formach twórczości krótkometrażowej, które wszelkie rozważania na temat nowych form i postaci narracji filmowej stawiają jeśli nie w centrum, to w każdym razie wewnątrz rozważań na temat rozwoju socjalistycznej kinematografii w ogóle.

Marzenia i rzeczywistość

Pierwszy z tych filmów jest produkcją czechosłowackiej — „Diamenty nocy” („Diamanty noci”) reżysera Jana Němce z zdjęciami Jaroslava Kucery według scenariusza Jana Němce i Arnošta Lustiga, opartego na opowiadaniu tego ostatniego.

Drugi z tych filmów jest produkcją węgierską — „Czas marzeń” („Almodósok kora”) reżysera Istvána Szabo, według jego własnego scenariusza, z zdjęciami Tamasa Vamosa.

Obydwa filmy są tradycyjne w sensie formatu ekranu i czarno-białe. „Diamenty nocy”, odznaczona Wielką Nagrodą na tegorocznym festiwalu w Mannheim, to dramat wojenny, właściwie zaś dramat martyrologiczny, historia ucieczki dwu więźniów obozu koncentracyjnego, którzy, transportowani dokądś indziej, wyśkakuja z pociągu i uciekają w las.

Film opowiada o sprawach prostych i wstrząsających przez swą prostotę i okrucieństwo. Dwaj więźniowie długo błądzą w lesie, są spr-

gnieni i głodni, śmiertelnie wyczerpani. Spotykają chłopca, któremu boją się pokazać; w jego domu, od jego żony dostają chleba i mleka, uciekają dalej. Zostają schwytani przez grupę starych, sklerotycznych, na pewno nie nadających się do służby wojskowej Niemców, którzy wybrali się na polowanie do lasu. Oczekując, co się z nimi stanie, obydwa bohaterowie są świadkami swoistej orgii starców, którzy zalewają się piwem, belkotliwie śpiewają idiotyczne piosenki, podrywają tańca. Wreszcie przychodzi dyspozycja, obydwa zatrzymanych należy przekazać do Gestapo. Starycy wyprowadzają bohaterów, ustawiają się rzędem i na komendę „ognia!” — wybuchają śmiechem. A dwaj więźniowie jak gdyby ruszyli pędem przed siebie, znów uciekają...

Nie mam wyrzutów sumienia, że w skrócie opowiedziałem dość przeciętną i prostą fabułę filmu, nie o fabułę w nim bowiem idzie, lecz o skojarzenia, jakie u bohaterów filmu, i u widzów, budzą poszczególne, prosiutkie zdarzenia, gesty, słowa (film zawiera zaledwie kilkanaście zdań dialogów), wygląd przedmiotów...

Zdjęcia wydobywają z tych filmowych składników maksimum wyrazistości i wymowy; montaż prowadzony jest na kilku planach naraz: realnych wydarzeń, snów, urojeń i marzeń obydwa więźniów, a także ich chwilo-

wych skojarzeń i wspomnień. Wszystkie zdjęcia nie bezpośrednio opisowe służą do coraz pełniejszej charakterystyki bohaterów, którym jawią się strzępki ich dawnego życia. Zresztą zdjęcia opisowe tak też służą do pełnej charakterystyki sytuacji i przeżyć bohaterów, poprzez metaforę poprzez skojarzenia nieraz odległe, nieraz bardzo bliskie takim filmom jak klasyczny „Pies andaluzyjski” Salvadora Dalí, jak „Ostatniego lata w Marienbadzie” Alaina Resnaisa.

„Diamenty nocy” to film okrutny, oskarżający wojnę i faszyzm poprzez odtworzenie ich rzeczywistości, wewnętrznej atmosfery duszącego, wszechobecnego kosmaru. Poszczególne sceny filmu można odczytać w różny sposób; gdy osłabnie na chwilę napięcie uwagi przy oglądaniu, można wręcz czegoś nie pojąć, na moment stracić kontakt z intencjami twórcy — ostateczny jednak sens i atmosfera filmu nie pozostawiają wątpliwości; mamy do czynienia z trudnym, ale w pełni humanistycznym, zaangażowanym filmem.

„Diamenty nocy” to także film zdumiewająco dojrzały, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że jest debiutem. Jan Němec przygotowuje się dopiero teraz do realizacji swego drugiego w życiu pełnometrażowego filmu.

Drugi z filmów, które wywarły na mnie tak duże wrażenie i skłaniają do uogólnień, jest również pełnometrażowym debiutem. Nazwisko młodego węgierskiego reżysera, Istvána Szabo, zwróciło na siebie uwagę, gdy zrealizował on dwa lata temu krótkometrażowy, poetycki film „Wariacje na jeden temat”. W ubiegłym roku Szabo stał się już reżyserem znanym w świecie — jego kolejny, krótkometrażowy, poetycki film „Ty” (zrealizowany, jak poprzednio, w budapeszteńskim Studio imienia Belli Balazsa) otrzymał wielką nagrodę na międzynarodowym festiwalu filmów krótkometrażowych w Tours (Francja), główną nagrodę (tzw. „Złote Wrota”) międzynarodowego festiwalu filmowego w San Francisco, oraz zaszczytny dyplom Festiwalu w Cannes. Sam film zapowiadał wiele, ale jego liryzm mógł niektórym wydać się przesadny, forma hermetyczna i wymyślna (cały film składał się z portretowych ujęć jednej i tej samej dziewczyny) treść — zbyt aluzyjna i banalna jednocześnie. Teraz Szabo zadebiutował jako reżyser (i scenarzysta jednocześnie) pełnometrażowego filmu „Czas marzeń” („Almodósok kora”), który rozproszył obawy (jeśli je budził film „Ty”), potwierdził natomiast, że w osobie Szabo sztuka filmowa nie tylko węgierska zyskała ciekawą, twórczą indywidualność.

„Czas marzeń” ma, jak myślenie, możliwości wywarcia pożytecznego wpływu na dalszy rozwój zaangażowanej po stronie socjalizmu, humanistycznej sztuki filmowej — dlatego warto przyjrzeć mu się bliżej. Jest to film wszechstronny i wprost współczesny; jego bohater Janosi (grany przez nieznanego u nas — jeszcze młodego aktora Andrasa Balint) jest młodym, rozpoczynającym pracę inżynierem-elektrotechnikiem. Bohaterka, Ewa (Ilona Béres) otrzymuje właśnie doktorat prawa i również rozpoczyna pracę. Zmieniający się, wzajemny stosunek pary bohaterów jest jedną z osi fabularnych i konstrukcyjnych filmu. Szabo ukazuje także daremne, bo niszczone przez powszednią codzienność i wewnętrzną słabość ambicje grupy młodych inżynierów, aby zdzicieli świat swoimi osiągnięciami.

Szabo włączył niejako w kształt swego filmu dwa odrębne filmy dokumentalne. Jeden: opowieść bohaterki o jej pracy w prokuraturze, o codziennym stykaniu się z ludzkim nieszczęściem, podłością, zbrodnią, wobec których jest bezradna, drugi: oglądany przez bohaterów w kinie dokumentalny film historyczny o ostatnich trzydziestu latach zdarzeń w Europie,

przez nich samych komentowany, gdyż stanowiący niejako rozszerzenie, tło ich własnych biografii... Obydwa te filmy mają samodzielną wartość.

Film udowodnia, że nie ma środków niezrozumiałych i form zbyt odważnych, jeśli twórca wie, co chce powiedzieć i ma do powiedzenia wiele świeżych prawd psychologicznych, bardzo konkretnie osadzonych we współczesności. Niecodzienna narracja i dramaturgia filmu stają się widoczne właściwie dopiero w czasie refleksji, po filmie — w trakcie jego oglądania wszystko jest jasne, zrozumiałe, łączące się ze sobą i z siebie nawzajem wynikające...

Zarówno „Diamenty nocy”, jak (w większym jeszcze stopniu) „Czas marzeń” udowadniają, jak myślę, konkretnie i na dzisiaj ogólną, może nie zapomnianą, ale nie zawsze w pełni żywą prawdę: współczesny film socjalistyczny nie jest ani wymysłem krytyków, ani postulatami teoretyków, istnieje, rozwija się

i oddziałuje. Jego oddziaływanie jest coraz silniejsze, w miarę rozwoju, jednym z burzliwych tego rozwoju elementów jest, podobnie jak w całej sztuce filmowej, (nie ma przecież powodów, aby pod tym względem film zaangażowany socjalistycznie miał być lub był czymś innym, lub uboższym, prostszym) język obrazów, sposób narracji, rodzaj dramaturgii.

W tych właśnie dziedzinach zachodzą we współczesnej sztuce filmowej istotne przemiany. Nie w sposób naśladowczy, lecz samodzielny i twórczy biorą udział w tych przemianach młodzi reżyserzy filmowi Czechosłowacji i Węgier. Ich filmy stają się, jak myślę, w niektórych dyskusjach płodnym, pożytecznym argumentem przeciwko zawężaniu możliwości rozwojowych i wyrazowych języka filmowego, przeciwko uniformizacji środków i zużyciu treści. Jest to rola, która w sztuce odgrywa dzieła rzadkie.

LECH PIJANOWSKI



G. Hincz (Węgry)



„WYSPA OCALENIA”

Na tej właśnie powieści Włodzimierz Odojewski sprawdził poniekąd trafność znanego powiedzenia, że pisarz tworzy całe życie jedną książkę. Pierwsza wersja „Wyspy Ocalenia” powstała w roku 1950, opublikował ją pisarz w odcinku radiowym i otrzymał następnie nagrodę im. Tadeusza Borowskiego. Przez 14 późniejszych lat powieść przeleżała w szufladzie, ale się w niej nie zakurzyła, pisarz wydobył tekst na warsztat, poprawiał,

przeredagowywał, pewnie walczył i bohaterów wybierając do opowiadania „Kwarantanny”, a zwłaszcza „Zmierzchu świata”. Aż wreszcie dramat dojrzał, a raczej — przepoczwarczał się chłopca w mężczyznę (we wszystkich tych procesach aspektach: od psychiczno-seksualnego po społeczno-obyczajowy), uśmiechnięty na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej roku 1942 — trafił w bardzo współczesnym Faulknerowskim kształcie artystycznym do rąk czytelnika z 1964 roku.

Powtarzanie literackich pacierzy za twórcą „Absalomie, Absalomie” może być bardzo działawiskiem nie tylko artystycznej piśmienki. W „Wyspie Ocalenia” wybór patrona i sposobu czerpania odcień kompozycyjnej inspiracji nie denerwuje dysproporcji, wydaje się odpowiednim zabiegiem wobec odpowiedniego tematu. Tym tematem jest przecież nie tylko chmurna swoistym romantyzmem młodość Piotra, jest przede wszystkim trudny, twardy, zgoła brutalny proces historii społecznej, która grzebie pod gruzami czasów pogardy pewne (tu Odojewskiego wyraziście określone) grupy i klany i zalewa bezwzględniejszą od pożogi

niepamięcią ostatnie, ukruszone się z wielowiekowej tradycji — wyspy ocalenia.

Z. P.

Włodzimierz Odojewski: „Wyspa Ocalenia”. Czytelnik, 1964, s. 261, cena 15 zł.

„WIERZSZE WYBRANE”

Zaczyna się ta niewielka, lecz treściwa książeczka wyznaniem wiersza z nie wydanego młodzieńczego zbioru „Świat umiarkowany” na „Wyrzucić”, kończy — niepomieszczone dotąd w żadnym tomiku „Radoscia pisanie”, czyli (jak poeta tłumaczy w polonice) „Możliwość utrwalania”, ale i „Zemsta reki śmiertelnej”. I tak też uformowały się filozoficzne i artystyczne tendencje bez mała dwudziestoletniego poezjowania Symborskiej, jej czterech wydanych dotąd tomików: optymizm konkluzji „Dlatego żyjemy” (1952) zmieniły już w 2 lata później „Pytania zadawane sobie”, a niecierpliwe w oczekiwaniu „Wolanie do Yehi” (1957) przez 5 następnych lat pocztowało na ustach

i pórce pisarki grubiejaczej przecie subtelny osad, gorzkiejacy ironią posmak łacie attyckiej „Soł”,

Z. P.

Jest to zresztą zarazem smak oryginalności, autentyzmu tej liryki, którą trudno zaklasyfikować etykietką optymizmu czy pesymizmu, lecz jeszcze trudniej wepchnąć do jakiegokolwiek panoszącego się po polsku, czy modnej z audzioskiej szkoły lub przedszkola. Zławsza ostatnie książki poetyckie Symborska pisze dla siebie i na własny rachunek, a jednocześnie (okazuje się, że jedno drugiego nie musi wykluczać i pożerać) przedkłada je czytelnikowi, mówi do nas bardzo prostym, komunikatywnym, lecz wcale niełatwym językiem i wzruszeniem. Te wiersze wstrząsają bowiem razem z sercem intelektem, zmuszają go do krytycznej autorefleksji, podważają olimpijską dumność, uczą krolejowej na miarę uczciwego humanizmu i mądrości. Wystarczy.

Z. P.

Wisława Szymborska: „Wiersze wybrane”. Wyd. Literackie, 1964, s. 115, cena 15 zł.

„BAJKA ROBOTÓW”

Książki Stanisława Lema nie wymagają reklamy, tuż po ukazaniu się — znikają z półek księgarzek w szybkim tempie. Tym razem autor rezygnuje z uprawianego gatunku fikcji naukowej i odchodzi zupełnie w stronę fantazji i baśni. Nie oznacza to jednak rezygnacji z realiów, jakimi Lem posługiwał się dotychczas w swoich książkach. Alboż poszczególne bajki znów toczy się w Kosmosie, na innych, często wymyślonych, lub powołanych do życia przez dziwne twory — planetach, w świecie istot nie przypominających ludzi, czy też w świecie maszyn, ale maszyn niezwykłych — robotów.

Zwrot, jakiego dokonał Lem w tej książce poleca na wprowadzenie rzeczy i zjawisk nieprawdopodobnych. Pojawiają się tu np. twory zbudowane z kryształów lodu, jednak myślicie, poruszające się i przeżywające sytuacje podobne do ludzkich.

Ale z drugiej strony, trzeba dodać, że podobnie jak w swych dawnych książkach, Lem nie rezygnuje z aluzji. Sytuacje, jakie zdarzają się w

świecie jego fantazji, przypominają nasze ludzkie codzienne sprawy i konflikty. Tyle, że posługując się formą bajki — Lem może pozwolić sobie na odejście w stronę groteski czy zabawy. Korzysta więc z tego i z humorem rysuje sytuacje, które — jak żywo — są niezbyt cieniunkimi aluzjami do ziemskiej rzeczywistości. Jak to przyjęto konwencją — bajki kończą się morałem i tu Lem daje nam najwięcej okazji do zabawy.

„Bajki robotów” nie mają określonego odbiorcy, są, że mogą je z powodzeniem czytać dzieci, które błądzą już na tyle szkolnej fizyki, by nie zamęczać starszych pytaniami, czy sięgać ciągle do podręczników i encyklopedii, jak i starsi, którzy będą się setnie bawili w czasie lektury.

JHW

Stanisław Lem „Bajki robotów”. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1964, str. 237, cena 20 zł.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Mroźek w Łodzi? Nie do wia-
ry! A jednak, a jednak... Nie
przychodzi mi nie trafniej-
szego do głowy w związku z
tym wydarzeniem jak słów-
ko — nareszcie. Nareszcie ktoś
pomyślał a myśląc odważył
się podać ludziom chodzącym
w tym mieście uparcie do tea-
tru półmisek z bardziej wy-
szukaną, nieznaną tutaj zgo-
łą potrawą. Ta gastronomicz-
na metafora nie oddaje
wprawdzie smaku i zapachu
pierwszego mroźkowego da-
nia, chciałem poprzez nią
tylko pochwalić pomysłowość
kucharzy. I aby niespodzian-
ka ta miała wszelkie cechy
niezwykłości, tego dzieła po-
djął się Teatr Powszechny.
Nie orientuję się, czym kie-
rowała się dyrekcja, powo-
lując do życia Scenę Propo-
zycji; nieważne są zresztą
motywy. Jeśli uznano, że tzw.
szeroki widz odczuł już po-
trzebę zmiany jadłospisu, za-
tesknił za bardziej urozma-
conym menu, znak to, iż
przeskoczyliśmy jakiś etap w
akcji zbiorowego żywienia
kulturalnego.

Nie byłbym wszakże sobą,
sprzeniewierzyłbym się diabłu
swej kapryśnej naturze, gdy-
bym składał ręce wyłącznie
do okłasków. Wskażę na dwie
sprawy, które mnie trapią.
Scena Propozycji jako prze-
budowa centrali z ul. Obró-
ców Stalingradu będzie opie-
rać się prawdopodobnie o ak-
torów tego teatru. Względem
techniczno-administracyjnej o-
raz finansowej przemawiałyby
za takim rozwiązaniem. Jest
to również oczywiste z punktu
widzenia ogólnej polityki pla-
cówek i jej rozmaitych intere-
sów. Wymieniam wszystkie
mocne „za”, pozostawiając
sobie znacznie mniej przeko-
nujące, jak przypuszczam,
kontrargumenty. Otóż wyda-
je się, że skoro po latach
westchnień i oczekiwań otwie-
ra się scenę eksperymentalną
i pragnie się jej niewątpli-
wie nadać rangę, odpowiadają-
cą współczesnym poglądom
na znaczenie nowoczesnej
sztuki, to należałoby sobie za
bezpieczeństwo dać licznější
krag współtwórców. Program,
wydany z okazji obecnej pre-
mier, nie zdradza zupełnie
intencji założycieli, nie odchy-
la wcale zamiarów i celów
artystycznych. Albo to dypl-
matyczny unik albo wstręt do
deklaracji, nie wiem. Wiemy
natomiast, że w zapowie-
dziach znalazły się trzy sztu-



ki: „Szewska pasja Filipa
Hotza” M. Frischa, „Pan w
ciemnych okularach” H. Czar-
neckiego i „Dziwny pasażer”
T. Karpowicza. Rozważę się
zapewne i innych autorów,
takich jak Audiberti, Albee,
Pinter, Böll, Billetdoux, mo-
że jeszcze młodszych np. in-
teresującego Czecha M. Kun-
dery („Własciwe klucze”), a
może i zapoznać się z nas-
tępstwami, jak Artura Schnitz-
lera (coś z cyklu o Anatolu)
— tutaj frapujące zadania,
jak przekazywać współczes-
nie tak subtelny i nastrojowy
akt moderny. Godna polecenia
byłaby ostatnia sztuka J. M.
Rymkiewicza „Lekcja anatomi-
i profesora Tulpa”, ale ni-
czego nie proponuję, niech
nie zaklinam. Od wyobraźni
i umiejętności współtwórców
zależy wszystko. Moim zda-
niem, warto by zmierzać w
kierunku sceny poetyckiej.
„Propozycje”, umieszczone w
nazwie, rozumieć jako wy-
cinkową prezentację najnow-
szego dorobku dramaturgicz-
nego. Rewia sztuk? Nie tylko.
Przeład problematyki? Tak,
jasne. Lecz przy jednoczes-
nym demonstrowaniu nowo-
czesnego warsztatu aktorskie-
go, reżyserskiego i scenografi-
cznego, w mozaikowym ukła-
daniu stylów i tendencji, wna-
kładaniu się różnorodnych oso-
bowości.

Domagając się szerszego u-
działu ludzi teatru w tej im-
prezie, nie zgłaszam votum
nieufności pod adresem ze-

społu Teatru Powszechnego,
jest to jedynie wołanie o peł-
ne maksymalne wykorzystanie
łódzkiej siły i środków.
Nie odwołuję się przy tym do
uprzykrzonego sloganu: kli-
ent ma rację. Chciałbym wy-
razić to bardziej wytwornie:
widz pragnie rozmaitości, lubi
mechanizm niespodzianki,
miałby ochotę oglądać na tym
samym prostokacie Krzyszto-
fa Chamca i Hannę Bedryń-
ską, Jerzego Przybylskiego i
Urszulę Modrzyńską. Ten mo-
ment nie jest tak istotny,
ważniejszy z pewnością ów,
że tok normalnej pracy tea-
tralnej przy dotychczasowa-
nych zasadach repertuaro-
wych przynosi dość rzadko
emocję eksperymentowania,
ten dreszcz, jaki obiecuje zna-
kanie się z trudniejszym two-
rzywem scenicznym.

Druga kwestia to sala. Go-
cina, jakiej używa Teatr Zie-
mi Łódzkiej, jest niechybnie
aktem dobrej woli czy przy-
jaznego gestu. Ludzie teatru
znają doskonale wartość lo-
kalizacji i stopień magnety-
czności sali. Powszechnie wi-
adomo, że łódzkie środowie-
cie zamyka się między ul.
Narutowicza a ul. Nawrot, a
przecież scena eksperymental-
na nie może się znaleźć poza
tym obwodem. A poza tym —
nieforemność tej sali, ultra-
maryna ścian, podbijająca nie

wę czegokolwiek i kogokol-
wiek.

Chyba szkoda, że na pier-
wsze spotkanie z Mroźkiem
wybrano jednoaktówki nie u-
kazujące tak plastycznie mro-
żkowego „wadzenia się” z pol-
skością, jego zawziętego bi-
czowania krajowych narowów
i obsesji, rodzinnych stereoty-
pów intelektualnych, obcza-
jowych i emocjonalnych. Mo-
żna by wówczas zobaczyć, jak
ojczyzniano-narodowe moty-
wy uzyskują uniwersalisty-
czne uogólnienie, po jakich
stopniach Mroźek dostąpił się
w rejon ogólnoludzkiego rozmy-
ślenia. Startowanie z nadwiślań-
skiego terytorium powtarza
się niemal w każdej sztuce
Mroźka. W „Karolu”, a zwa-
żając w „Czarownej nocy” wy-
czuwa się natychmiast tutej-
szy klimat, tutejsze realia.
Dwóch panów na delegacji
służbowej, pokoik hotelowy
gdzieś z Kutna czy z Rado-
mia, tematyka rozmów —
wszystko jest takie swojskie
i bliskie. Banalne i „życiowe”.
Cała ta sfera rzeczywistości mo-
no siedzi w tekście, opis wne-
trza i treść dialogów osadza-
ją sztukę w znajomym milieu.
Mamy tu, odwrotnie niż w
„Karolu”, zupełnie konkretną
sytuację. Ludzka i środowisko-
wa. Reżyser spektaklu Józef
Wyszomirski, pamiętający pe-
wnie o wskazówce autora do

przyjąć za reżyserem, iż sen-
tem jest jawą, to jest to jawa
groteski i absurdu. Wydaje
się, że wstrząs, jakiego dozna-
ją obaj panowie, odkrywając
w sobie piekło wstydlivych
pragnień, można by bardziej
uwypuklić przez „uwampie-
nie”. Trzeciej Osoby: ruben-
sowski biust J. Siennickiej na
leżałoby udrapować w bar-
dziej ekscentryczną, „szalową
kieckę” według fotografii np.
z „Play-boya”.

Ostatnio nasze teatry, sytu-
ujące jeszcze przed kilku la-
ty utworzy Mroźka w scenarii
wyłącznie surrealistycznej,
przekazują coraz poprawniej
ten świat, wychodząc od rze-
czywistości a zamykając w ra-
mach groteski. Odnosiłem wra-
żenie, że J. Wyszomirski zbyt
krańcowo przejął się „realiz-
mem” Mroźka. Pokazuje to
spektakl „Karola”. Otóż w tej
sztuce nie ma zupełnie war-
stwy obyczajowej, nie ma też
takich obserwacji jak w „Cza-
rownej nocy”. Mroźek wy-
chodzi tu z bardzo ogólnej,
czystej sytuacji egzystencjal-
nej, nieprawdopodobnej, nie
budzącej żadnych skojarzeń
z jakimś określonym ukła-
dem. Samo założenie sztuki —
zbadanie zachowań ludzkich
pod ciśnieniem konieczności,
które są pochodzą terroru czy
kompromisu — można uznać
za trafne i nawet sprawdza-
ne, ale wynikające stąd uogól-
nienie daje asumpt do bardzo
szerokiej interpretacji. Reży-
ser łódzkiego przedstawienia
wybrał jedną z możliwych
kładni, transponując ją zresz-
tą dość wieloznacznie. Wyeks-
ponował postać Okulisty, po-
kazując go w sposób bardzo
„naturalistyczny” i każąc mu
przeżywać tragedię zdeprawo-
wanego mieszczańskiego pie-
knoducha-inteligena. Z. Nie-
wczas podporządkował się tej
dyspozycji, oddając grymasem
fizjonomii, bolesnym roz-
kładem rąk, cierpieniowymi
poruszeniami ciała — degen-
erację jednostki, wzbudza-
jącą jednak współczucie.
Przy podobnym ustawieniu
postaci w płaszczyźnie rea-
listycznego dramatu wypa-
rował nastrojów grozy, uległ
rozluźnieniu makabrycznej
napiętej groteski, zaciął się
specyficzny kolorystyczny wstrząs
jącego moralitetu. M. Szew-
czyk jako Wnuc zagrał rod-
zimego chuligana, zachowu-
jąc i w sposobie bycia, i w
gwałtowności ruchów, i w
krzykliwej „chamskiej” intona-
cji odzywek, dość wiele z
wizerunku współczesnych roz-
bójników. To ujęcie jest jak-
bądź upostaciowaniem naro-
dowego zabijaki o provenien-
cję szlachecko-nacjonalistycz-
nej — to typ przewijający
się często w mroźkowej gale-
rii. Obdarzony takimi wła-
ścivosciami, Wnuc staje się
w ten sposób bardziej bezpo-
średnim sprawcą zbrodni.
„Karolstwo” nie jest tedy wynikiem ja-
kieś nadzrodnej siły np. hi-
storycznej przemocy, lecz
zwykłym kaprysem wyko-
łosego młokosa. Wskutek te-
go zabiegu przemieszczenia
akcentów, Dziadek (T. Sa-
bara) utracił na swym zna-
czeniu. Wydaje się, iż poste-
pując nieco wbrew intencjom
reżysera, i słusznie, T. Sa-
bara bardzo sugestywnie ro-
bi bezwonną kukłę, automat,
zdolny do wykonania wszel-
kich rozkazów. Szkoda tylko,
że przez ubranie go w dżiwa
czyny stróża (gajowego?) — u Mroźka: „Droby
staruszek z siwą brodą, z
dubeltówką na ramieniu” —
poprzez wasy sumiaste za-
nabijając grę twarzy, odebra-
no tej postaci pewną anon-
imowość, tajemniczość. I gro-
zę. Uczyniono ją śmieszna.

Moja polemika z reżyserem
nie podważa wartości obu
realizacji. Spór o absolutną tra-
fność takiego czy innego roz-
wiązania jest sporem otwar-
tym, każda interpretacja mo-
że znaleźć punkt oparcia w
złożonej strukturze tych dra-
matów. Najważniejsze, że ma-
my Scenę Propozycji, że bo-
dzie można wreszcie o coś
walczyć.



WOJCIECH NATANSON

Kilka słów o „Wyzwoleniu” łódzkim

Gaston Baty pięknie nie-
gdyś sformułował zadania i
pozycję reżysera współczes-
nego. Powinien on odbywać
drogę „odwrotną” w stosun-
ku do tej, którą zmierza
autor. Dramatopisarz formu-
luje swój pomysł. Insceniza-
tor, idąc śladami owych
sformułowań, powinien od-
gadnąć źródła i sens jego po-
mysłu, czyli zasadniczą „wi-
zję” autorską.

Dodajmy do tych zadań
funkcje, jakie wynikają z
oddalenia w czasie. Utwór
klasykowny właśnie dlatego jest
doskonały, że zwycięsko oparł
się przemijalności. To, co w
nim aktualne i żywe może
reżyser odnaleźć odbywając
ową „odwrotną” drogę: od
tekstu do idei autorskiej czy
li do autorskiego „pomysłu”
pierwotnego. Zakładamy,
rzuć prostą, stuprocentową
dobrą wolę inscenizatora,
chęć „wsluchania się” w
tekst, a nie zastąpienia go
przez twórczość własną.

Myślę, że takie były ogól-
ne wytyczne Józefa Wysz-
omirskiego przy inscenizowa-
niu „Wyzwolenia”. Aktual-
ność owego utworu — i to
nie tylko polska, ale i ogól-
noludzka — na tym polega,
że autor daje dramat o two-
rzeniu, o konstruowa-
niu dzieła artystycznego.
Zdaniem Wyspiańskiego ist-
nienie bardzo wyraźna ana-
logia między prawami fizyki,
dotyczącymi zjawisk przyrod-
nych, a regułami rządzą-
cymi sztuką. Analogia nie o-
znacza identyczności, ani toż-
samości. Jeśli mówimy o pra-
widłowości artystycznych zja-
wisk, musimy sobie zdać
sprawę, że w sprawach
tych nie obowiązuje klasycz-
na logika, ale instynkt, czyli
myślenie rządzące się pewny-
mi impulsami. Tak trzeba ro-
zumieć słowa Konrada, w dys-
kusji z Maskami, że „z wszel-
kiego myślenia chaotycznego
ostanie się tylko sztuka”.

Niemniej fakt, że istnieje
w sztuce pewna „prawidło-
wość” — wyklucza dowol-
ność i przypadkowość. Bud-
owa dzieła artystycznego musi
być „wierna założeniu”, czyli
„logice artystycznej”. Czy owa
wierność wyklucza swobodną
decyzję artysty? Nie, ponie-
waż twórczość artysty zakła-
da akt wyboru! Nie jest na-
 przykład ani przypadkowe,
ani dowolne, komponowanie
plastyczny obrazu przez no-
woczesnego plastyka. Jest
ono cierpliwym i świadomym
doborem środków, ich harmo-
nizowaniem i układem. Jeśli
więc możliwa jest tak po-
mysłana twórczość na polu sztuki
— dopuszczalna jest ona
także gdzie indziej, np. w
dziedzinie praktycznej, wy-
zwolenia narodowego, zmiany
stosunków dlańwających jakieś
społeczeństwo. Tylko, że sa-
mo stworzenie dzieła sztuki
nie jest identyczne z czynem
praktycznym. Może być ono
tylko wskazaniem drogi, zwró-
ceniem uwagi na analogie. W
ten sposób staje się „Wyzwo-
lenie” wielkim argumentem
w walce przeciw tym, co ne-
gowali możliwość jakiegokol-
wiek czynu, i to w jakiegokol-
wiek dziedzinie. Dla których
wszystko było jedynie „ge-
stem” („acte gratuit”), jak
tytady Dziennikarza z „We-
sela”, lub ströfy Harfiarki z
„Wyzwolenia” (istnieje nie
rozpatrzony dotychczas zwią-
zek między postawą Harfiarki
a stanowiskiem Muzy i Reży-
sera w „Wyzwoleniu”).

Genialność dzieła Wyspiań-
skiego na tym także polega,
że ukazuje ono akt artystycz-
nej twórczości — na przykła-
dzie konkretnego dzieła sztuki,
jakim jest spektakl tea-
tralny. I to spektakl „in sta-
tu nascendi”, rodzący się,
wciągający uczestników „com-
media dell'arte”. Tak pojęty
dramat improwizowany za-
klada, że realizacja tekstu
jest równocześnie z jego po-
wstawianiem, tj. konstruowa-
niem sytuacji i dialogów.
Dawne inscenizacje „Wyzwo-
lenia” (np. Zelwerowicza, a z
nowszych: Horzycy), zacięra-
ły to zagadnienie poprzez
ekspresjonistyczne potrakto-

wanie rozprawy z Maskami.
Ezprawa ta nie wiazała się
organicznie z pozostałymi ak-
tami, stawała się wizją roz-
grywaną w podświadomości.
Dopiero u Osterwy akt drugi
„Wyzwolenia” nabrał znacze-
nia integralnie związanego z
resztą. Konrad poprzez dys-
kusję z różnymi, żywymi
ludźmi przygotowywał się do
swego wystąpienia, które mia-
ło być kulminacyjnym punk-
tem dramatu „dell'arte”, a za-
razem rozstrzygnięciem wzo-
wych problemów akcji. Wy-
szomirski daje tu rozwiąza-
nie jeszcze bardziej precyzyj-
ne, nowoczesne i śmiałe. Ma-
ski to aktorzy, grający po-
szczególne postacie z aktu
pierwszego i trzeciego. Wraz z
Konradem dyskutują o tym,
co ma nastąpić: o przebiegu
i zakończeniu wspólnie oma-
wianego scenariusza. Zarazem
ten „udramatyzowany essay”
nie przestaje być — żywym
dramatem żywych, cierpią-
cych i walczących ludzi.

Taka koncepcja nakłada
na aktorów szczególnie wiel-
ką odpowiedzialność: powie-
rza im ona specjalnie donio-
śle zadania. W spektaklu
Wyszomirskiego wszyscy „gra-
ją” współtwórców dzieła.
Wszyscy inkarnują postacie,
które intensywna choć instyn-
ktowna praca myśli i woli,
określają przebieg akcji w
owej, rozgrywanej się przed
nami, „komedii o Polsce
Współczesnej”. Nie znaczy to,
by zmniejszyły się zadania
aktora, grającego Konrada.
Józef Zbiroś, który tę rolę
realizuje już po raz drugi,
znakomicie — jak mi się zda-
je — zaznaczał jej „dwo-
istość”, a zarazem integral-
ność. Był od początku do
końca artystą, twórcą
określone dzieło; zaznaczał
jak ciężkiego, bolesnego i
spalającego wysiłku wymaga
taka twórczość, jakich żąda
wyrzeczeń i jakie zawiera
niebezpieczeństwa. Przecież
wiadomo, że niejedną twórcą
przytłacz taki wysiłek szale-
ństwem, czy samowyczerpa-
niem. (Nawet — farsopisarz
Feydeau!) Lecz Konrad to nie
tylko myśliciel, ale i czło-
wiek artystycznego działania.
Pokazać go w scenicznym czy-
nie, rozpoczynającym się na
długo przed „walką” z Ge-
nuszem, a także już po „roz-
charakteryzowaniu” się kole-
gów, po zakończeniu com-
media dell'arte — to zadanie,
które Zbiroś spełnia w sposób
bardzo piękny.

Kto z nim najściślej współ-
działa i najmocniej zostaje
w pamięci? Myślę, że Marian
Nowicki jako Stary Aktor i
Prezes, Jerzy Walczak jako
Genusz, Feliks Zukowski
(Karmazyn), Aleksander Fo-
giel (Holmas), Kazimierz Iwiń-
ski (Przymys), Sławomir Misiu-
rewicz (Przedownik) i Bohdan
Wróblewski (Kaznodzieja). Mi-
rosław Marcheluk, grający
Muze, można by zarzucić, że
pomniejszyła wymiary tej po-
staci, wnosząc w interpretację
niechty tu potrzebny ton pa-
stiche'u. Adamowi Daniewi-
czowi jako Reżyserowi zabrak-
ło postawy, narzucającej
choćby „rzemieślniczy”, ale
jednak wyczuwalny autorytet
współtwórcy improwizowa-
nego spektaklu. Zastrzeżenia
wywołuje we mnie — usunie-
cie w spektaklu łódzkim, tak
doniosłego, Epilogu.

Scenografia Wiesława Lan-
gego, chyba konsekwentniej
niż w realizacji katowickiej,
dawała odczuć, że nieustan-
nie przypomina się tutaj —
wscobecnosc teatru. Raz po
raz „spływają” elementy
dekoracyjne; rozbija się ilu-
zję — w imię teatralności.
Barwy i kształty „tańcza”
osobliwy balet. Ręka i wola
współtwórców improwizowa-
nego przedstawienia układają
to wszystko — w całość jed-
nolitą, a niezwykłą.

Myślę więc, że jest to przed-
stawienie arcyambitne. Czy
talem niedawno w „Odgło-
sach” dyskuję o łódzkich
teatrach. Jej uczestnicy kry-
tykowali poziom repertuaru i
realizację. Myślę, że spektakl
„Wyzwolenia” dał na te za-
strzeżenia — odpowiedź, któ-
ra może napędzić otucha.

JAK ODKOPAŁEM TRYBUNAŁ CZYLI CO DZIEJE SIĘ ZA PARKANEM



Jak przystało na miasto o wielkich tradycjach historycznych, Piotrków Trybunalski posiada malowniczą dzielnicę staromiejską. Po latach opuszczenia i zapomnienia i na nią zwrócono wreszcie uwagę w planach remontów i konserwacji, o czym świadczą rusztowania otaczające niektóre kamienice. Mieszkańcy, mile zdziwieni, czekają spokojnie aż odnowa nabierze większego rozmachu. Ale zaczynają się denerwować, gdy ktoś zaczyna Stare Miasto szpecić, kopiąc dół i stawiając na środku zabytkowego rynku niechlujne palisady. Wszystko to ma miejsce na popularnym placu Trybunalskim. Ostatnio przybyła nawet tak powszechna w Polsce budka zwana swojsko „pakamerą”. Jeżeli się spyta, co to ma znaczyć, odpowiedzą wam wzruszeniem ramion i pukaniem w czoło, lub opowiedzą o zwariowanym Amerykaninie, który przyjechał, aby odzyskać utracone na rynku złoto. Bardziej zorientowani odpowiadają: „Był tu jeden taki facet, w Muzeum pracował, broń nosił, potem rozkopał cały plac i wyniósł się do Łodzi”. Wtedy ponieważ wszystko zdaje się świadczyć, że to o mnie mowa, gotów jestem niniejszym do złożenia w miarę wyczerpujących zeznań. A było to tak:

W lecie tego roku, ojcowie miasta zdecydowali się na wyłożenie placu Trybunalskiego trwałą nawierzchnią. Siedziałem sobie w Zamku, przekładając stare monety z jednej kupki na drugą, jak przystoi na dobrego kierownika muzeum. Zadzwoniono. Z Wydziału Kultury. Ze mają Stary Rynek płytami przykryć, więc warto by trochę pokopać, bo to ostatnia okazja, a wiece, jak się ostatnia okazja przegapi, to wiece, bywają różne potem historie, wywikłania, zresztą

wiece. Zdumiałem się głęboko, bo oto byłem świadkiem rzadkiego wypadku, gdy Rada Narodowa sama prosi o zrobienie naukowego balaganu w mieście, co najdziwniejsze, za owej Rady pieniądze. Jest się tym archeologiem, czy nie, pomyślałem i z furją zabrałem się do kopania. Od dawna wiadomo, że wszelkie rynki staromiejskie, to podziemne rezerwy zabytków i warstw, niezniszczonych przez późniejsze zabudowania. Podczas gdy robotnicy zdejmowali pierwsze warstwy ziemi, zabrałem się do starych map i książek. Czasu miałem na te studia dosyć, bo w parę dni po rozpoczęciu prac okazało się, że postawienie plotu naokoło wykopu jest problemem, z którym Miejska Służba Drogowa zetknęła się po raz pierwszy i trochę to potra.

Czytałem więc o Starym Ryнку i o wznoszącym się na nim niegdyś ratuszu, w którym odbywał swe posiedzenia, ni mniej, ni więcej, miłośnicy panowie, Trybunał Koronny Rzeczypospolitej. Czeladną instytucję powołał do życia Stefan Batory za podszepciem kanclerza Zamojskiego. Król ten wybudował ponoć w tym celu gmach w Piotrkowie, a było to w roku 1580. Miał to być budynek okazały, zwieńczony attyką, do którego przybudowano w 1611 roku basztę służącą za więzienie. Zniszczony potem przez Szwedów i liczne pożary, odbudowany został na nowym planie przez architekta Kubickiego staraniem Stanisława Augusta. Po zlikwidowaniu trybunałów mieścił się tam biura kamery pruskiej, wreszcie, za czasów carskich — sąd i magistrat. W 1868 władze rosyjskie zezwoliły na rozebranie walącego się gmachu, w którym ojcowie miasta kłócili się z

prawnikami o płacenie podatku i tożenie na jego utrzymanie.

Cel badań był więc jasno określony. Chodziło o dokładne wyznaczenie zasięgu starożytnego Trybunału, zorientowanie się w stanie jego zachowania i szczegółach konstrukcji oraz poznanie chronologii warstw kulturowych w sąsiedztwie budynku. Miało to między innymi pomóc w uzyskaniu odpowiedzi na pytanie, jak stary jest Piotrków. A wszystkim wiadomo, że cofnięcie wstecz daty powstania miasta jest prawdziwą uciechą dla każdej szanującej się rady narodowej.

Tymczasem plotów nadał nie było, ale zanim rozgorączkowani mieszkańcy zadeptali nogami wykop, zdążyłem zauważyć, że wyłaniający się spod łopaty mur jest niespodziewanie mocny i w zasadzie biegnie tam, gdzie powinien. Uchwyciliśmy fragment południowej strony fundamentów wraz z przylegającą do gmachu „wieżą śmierci”. Pogłębianie wykopu po zewnętrznej stronie muru dało w efekcie ciekawy profil nawarstwiających się na sobie poziomów osadniczych. Ostatnia warstwa, spoczywająca na jasnej, nigdy nie ruszanej przez człowieka glince, miała intensywnie ciemny kolor. W tłustych brzytach ziemi tkwiły ułamki glinianych naczyń i kości. Dotykaliśmy oto powierzchni, po której chodzili pierwsi mieszkańcy Starego Miasta. Skorupy już na pierwszy rzut oka wyglądały na XIV, może XIII wiek. Najbardziej plotkowanie wyraźnie się tym zmartwił, jako że już pierwszą wiadomością o mieście pochodzi z 1217 roku. Innymi słowy — na razie nic z tyśiąclecia. Dla nas jednak ta negatywna odpowiedź była

wartościowa. Jeszcze raz potwierdziło się podejrzenie, że Stare Miasto zostało założone na nowym terenie, poza obrębem dawnej osady przed lokacyjnej. Trzeba jej szukać gdzieś indziej. Tymczasem zajęliśmy się Trybunałem. Zasięg można już było odwozować z tego, co się dotychczas odkopało plus stare plany miasta. Mury były jednak bardzo zdrowe, pojawiły się też wejścia do podziemnego pomieszczenia wieży. Wspomagający nas duchowo i materialnie działacze kultury mieli równą, a może nawet większą chętkę na zbadanie zawartości i rozplanowanie piwnic szacownego gmachu. W tym momencie nasze ciągotki naukowe weszły w wyraźną kolizję z tzw. „przerobem” Wydziału Gospodarki Komunalnej. Po kilku polityczkach uzyskaliśmy jednak pozwolenie na poszerzenie wykopu. Prócz tajemniczego podziemia wieży interesowała mnie głównie owa najstarsza warstwa, którą uchwyciliśmy dotychczas na niewielkim odcinku. Wytrzymałem nową próbę z plotami i wyznaczyłem nowe ćwiartki arów. Już po kilku dniach ukazały się relikwie nie skutki nadmiernej ciekawości. Poza zasięgiem Ratusza wyłaził spod ziemi stary mur o dość prymitywnych kamiennych fundamentach. Nie było go na żadnym z posiadanych przez nas planów. Zarówno stratygrafia, jak i analiza cegieł wskazywały, że odkryte fragmenty są na pewno starsze od Batorowego. Albo na rynku stało coś, o czym nikt nie wiedział, albo to nie nasz węgierski monarcha zbudował gmach Trybunału. Z pewną obawą pomyślałem, że trzeba by poszerzyć wykop jeszcze raz. Po krótkiej

serii eksplozji w odnośnym wydziale nastąpił rozejm za sprawą przewodniczącego Prezydium. Kłapiemy dalej. Spód ziemi zaczęły teraz wyśkakiwać problemy jak karłowate. A więc masa kości i rogów, różne typy skorup, kilka warstw bruków, pozostałości średniowiecznego pręgierza, ciekawa konstrukcja fundamentów owej starszej fazy budowlanej, polegająca na częstym stosowaniu łuków, średniowieczny system wodociągowy, prymitywna studnia wewnątrz murów, zagłębiona przymurówka z profilowanej niekiedy cegły i ręcznie malowany kafel stanisławowski.

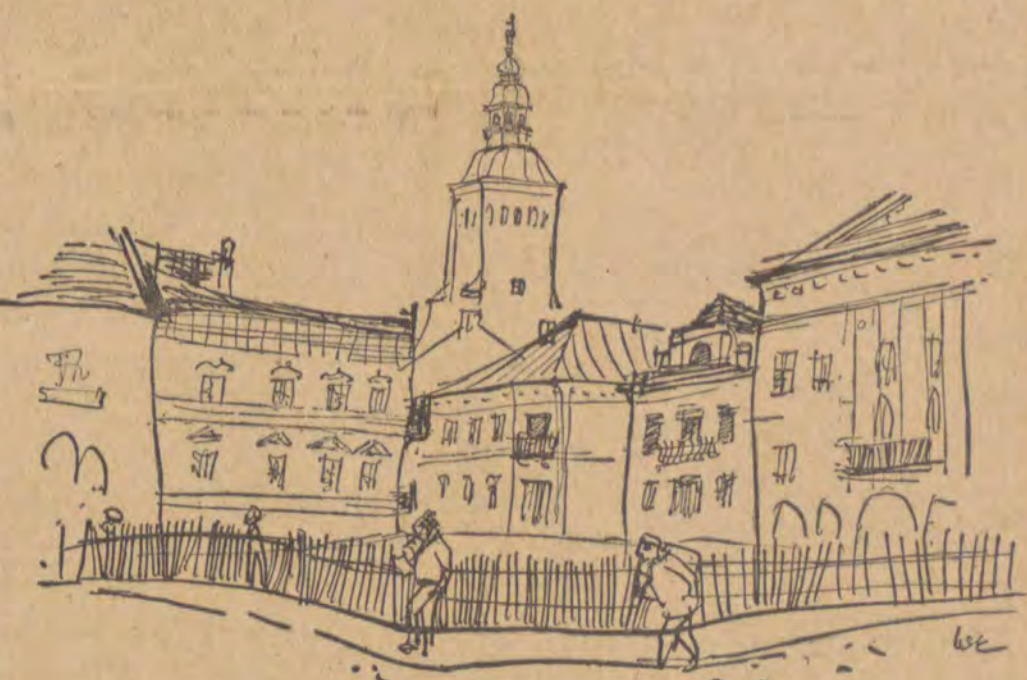
Odkopaliśmy gładko dolne pomieszczenie wieży, w którym trzymano skazanych na śmierć. Do ponurej piwnicy prowadził niewielki otwór, zawieszony wysoko nad posadzką. Poszukiwania w źródłach wyjaśniły tę zagadkę: okazało się, że prawo sejmowe nakazywało aby od okna, przez które spuszczano zлочыnców na dno wieży było co najmniej 12 lokci. Wyjaśniło się też przeznaczenie dziwnej przybudówki: było to prezbiterium kaplicy trybunalskiej odkąd przeniesiono ją na parter.

Wtedy to, pewnego dnia, trzech panów od kultury w osobach kierownika Wydziału Kultury, przewodniczącego Komisji Kultury i kierownika Domu Kultury wpadło przy moim akompaniamencie na pomysł odrestaurowania piwnicy gmachu Trybunału i oddania ich do zwiedzania. Wy mieniam ich wszystkich, bo w głębi swego rozhysteryzowanego serca wydaje mi się, że Piotrków lubi zapominać o zasługach, lub ich zgoli nie zauważając. Tego samego dnia zjechał Wojewódzki Konser-

wator Zabytków Sztuki. W jego świetle byli przedstawiciele Pracowni Konserwacji Zabytków. Zarzucanie haczyka nastąpiło w kawiarni „Pod Ormianinem”. Pomysł stał się atrakcyjny również dla speców od konserwacji, jako że zabezpieczenie w ten sposób zabytkowych szczątków budowlanych byłoby pierwszą próbą w Polsce. Okoliczność ta zmusza do intensywnego myślenia nad metodą, to zaś jest podobno konflikt niektórych magistrów inżynierów.

Co na to ojcowie miasta? Po raz pierwszy byłem świadkiem tak błyskawicznego podjęcia decyzji bez odwołania jej do sejsji i posiedzeń. Uczyli to przewodniczący Prezydium, nakazując odłożenie prac porządkowych przy kładzeniu nawierzchni na placu i obiecując pomoc finansową na prowadzenie dalszych prac. W obecnej chwili jest na desce dokumentacji zabezpieczenia zabytku. Niedługo nastąpi odsłonięcie całych piwnic, które po przejściu odpowiedniej kuracji zostaną przykryte stropem. Stąd ów nieporządek na placu Trybunalskim i stąd moje tu zeznania. I myślę jeszcze: w takim Śle radzu, taka Ania Dzierżogowska wykopała kawał rury wodociągowej, tyle że drewnianej i od razu wszyscy zbledli z wrażenia, nie mówiąc o prasie. A tu odkopuje się jeden z pierwszych znaczących gmach Rzeczypospolitej i co, samemu trzeba sprawę reklamować szwendając się po redakcjach. Nie myślę tu o sobie, nie, ja dla nauki. Już słyszę, jak w Piotrkowie mówią: broń nosił, rynek rozkopali, do Łodzi uciekli, ale teraz dobrze napisali.

ANDRZEJ POLKOWSKI



Rys. W. Kondak

FIZYK I PISARZ

Zdarzyło mi się przed paroma laty, podczas letniego pobytu w Nieborowie, siedzieć przy jednym stole z Leopoldem Infeldem. Siedzieli tam jeszcze jacyś inni ludzie, a wśród nich — cudzoziemcy. Podziwiałem, z jaką swobodą Leopold Infeld przechodził z jednego języka na drugi, zwracając się to do Niemca, to do Anglika, to wreszcie do kogoś z nas — Polaków. Mówił swobodnie, jasno i z charakterystyczną dla umysłu fizyka — ścisłością i konkretnością. Przy tym wszystkim nie był powabiony pocucia humoru. Przeciwnie: sypał anegdotycznymi przypominieniami, stając się duszą rozmowy i skupiając w sposób naturalny uwagę na sobie i na tym, co mówił.

Przypominałem sobie tamte chwile obecnie, gdy wzięt do rąk najnowszą publikację Leopolda Infelda „Szkice z przeszłości”. Ta sama swoboda w pisaniu, co tam — w mówieniu, ta sama konkretność i jasność, bez zdołnictwa i jakiegokolwiek fra-

zeologii. Nie ma nic piękniejszego, niż gdy wybitny uczoney posiada dar pisarski — spod jego pióra wychodzą wówczas rzeczy, skrócone w sposób ścisły, proste i głębokie. Wydane obecnie wspomnienia naszego wybitnego fizyka, wieloletniego współpracownika Einsteina czytają jak powieść, nie postrzegając jak dowiadujemy się z nich wielu istotnych szczegółów, nie tylko o nim samym, jego pracy i jego przeżyciach, ale także o problemach naukowych i o ludziach z którymi los go zetknął na krócej lub dłużej jak np. z Einsteinem czy Nielsem Bohrem, a z naszych polskich uczonych — z Władysławem Natansonem, którego wykłady słuchał Infeld w Uniwersytecie Jagiellońskim w czas pierwszej wojny światowej i którego w książce swojej wspomina z wdzięcznością i rozręwnieniem. „Szkice z przeszłości” są biografią życia i pracy uczonego. W sposób wzruszający i bardzo szczerze opisuje Leopold Infeld swoje

dzieństwo, spędzone na krakowskim Kazimierzu, swoje studia krakowskie, wyjazd do Berlina, a następnie kierownictwo szkoły w Koninie. Wstrząsająca jest historia jego siostry, Broni, która zginęła w czasie okupacji w tajemniczych okolicznościach, śmierć jej dziecka, które po zostawieniu bez ojca i matki na wychowaniu u ludzi, zmarło, zarażony się tyfusem. Jednakże najwięcej miejsca w swojej książce poświęca Infeld współpracy z Einsteinem. Trudno się temu dziwić. Była to najpiękniejsza przygoda, jaka mogła się polskiemu uczonemu wydarzyć.

Dawno już czytałem rzecz o Einsteinie, napisaną na podstawie rozmów z twórcą teorii względności przez niemieckiego autora o polskim nazwisku Aleksandra Moszkowskiego, a następnie w roku 1922 przełożoną na język polski przez Tadeusza Drozdowskiego i wydaną nakładem księgarni Ludwika Fisera w Łodzi. Książka Moszkowskiego (dziś wielka rzadkość antykwaryczna) jest bez kwestii znakomita, a przecież obraz Einsteina, jakiego nakreślił Infeld, wdraża

się w pamięć w sposób niezapomniany. Einstein, człowiek niedużego wzrostu, w swetrze, nie używający szeleku ani paska, podciągający co chwila opadające mu spodnie, chodzący bez skarpetek, zakochany w swojej nauce, czasami grający na skrzypcach — ten człowiek jawi nam się jak żywy, wskrzeszony przez znakomite pióro Infelda. Najwybitniejszy uczoney naszych czasów, a może wszystkich czasów w ogóle był zarazem człowiekiem niesłychanie skromnym, prostym i uczynnym. Każdemu, kto się do niego zwrócił, okazywał pomoc, napisał tysiące listów polecających dla ludzi, szukających pracy i zajęcia. Zwalacza nie odmawiał tej pomocy emigrantom, których tak wielu, po zwycięstwie Hitlera i rozpętanu przezeń wojny, znalazło się na kontynencie amerykańskim, często bez środków do życia. Kiedy 18 kwietnia 1955 roku zamknęły się oczy Einsteina na zawsze, Infeld napisał o nim: „Umarł człowiek o niewypowiadzanej dobroci, dobroci płynącej raczej z umysłu aniżeli z serca. Umarł człowiek, który był sumieniem świata, który

głos swój podnosił zawsze w obronę uciśnionych, zawsze przeciwko tyranii. Umarł prawdopodobnie największy fizyk wszystkich czasów”.

Czytałem książkę Infelda i przypomniałem sobie to wszystko, co kiedykolwiek słyszałem o Einsteinie. Ileż pięknych anegdot uzbierało się o nim, jak są one rozbijające i jakim tchną ciepłem. Oto kilka z nich. Einstein lubił podróżować koleją, siedzieć w wagonie restauracyjnym. Pewnego razu, gdy mu kelner przedłożył jadłospis, Einstein, zauważywszy, że nie posiada przy sobie okularów, poprosił go o przeczytanie na głos karty z jadłospisem. Kelner popatrzył na Einsteina ze współczuciem, pokławił głową i szepnął mu do ucha: „Bardzo mi przykro, mój panie, ja także nie umiem czytać”.

Zaproszono Einsteina do Hollywood na pokaz filmu, który przedstawiał podróż na księżyc. Po przybyciu do Hollywoodu wydano na jego cześć przyjęcie, na którym zgromadziły się liczne gwiazdy filmowe. Zjawili się również Rita Hayworth i przysiadłszy się do Einsteina postawiła mu nagłe pytanie:

„Mistrzu, czy może mi pan powiedzieć, które z odkryć chemicznych jest najpiękniejsze?” Einstein popatrzył chwilę na jej czerwono-brawą falę włosów i powiedział ze śmiechem: „Bez wątpienia, rude kobiety”.

Einstein z upodobaniem przeglądał różne wydania encyklopedii angielskiej, znanej pod nazwą „Encyclopedia Britannica”. Otóż stwierdził on, że w wydaniu z roku 1768 słowo „atom” poświęcono cztery wiersze objaśnienia, słowo „miłość” — pięć pełnych stron druku. W najnowszym wydaniu „atom” opisany jest na pięciu stronach, „miłość” natomiast zniknęła w ogóle z kart encyklopedii angielskiej. Młodzi i starzy, wieprzacy i ateści, poeci nowocześni i tradycyjni — śledźcie po książkę Leopolda Infelda. Po czytaście ją sobie zamiast powieści, bo to jest najlepsza powieść, jaką ostatnio wydano.

Jan Kłopotowski

Przeczytaj w pociągu

Przeczytaj w tramwaju

Przeczytaj u dentysty



Przedstawiam
Państwu
opowiadanie
którego nie
pozwolili mi
zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Jeśli zechcecie jechać do Washingtonville w Pensylwanii, musicie się wybrać w kierunku wschodnim od Pittsburga drogą nr 78. Miasto leży 20 mil od granicy stanu Pensylwania, w kierunku Rivertown. Aby dojechać do centrum handlowego Washingtonville, trzeba zjechać w dolinę i po minicielej siodlni stacji benzynowych, trzech przydrożnych domów towarowych, dwu fili bankowych i kilku przydrożnych kafelek dla kierowców — jechać dalej doliną. Droga wiedzie przez zachodnie zbocze, a z prawej strony widać stłoczone domy. To już Washingtonville.

Wypadek zdarzył się na 78 drodze, w miejscu, w którym znajduje się zakręt. Krzyk człowieka z powodzeniem można było usłyszeć w magistralce, gdzie mieści się również komenda policji. Porucznik Randall nigdy by nie uwierzył, że uda mu się ująć mordercę przy pomocy laika w sprawach policyjnych — kelnierki Sary Benson.

16 grudnia 1954 roku o godzinie 5.30 drogą numer 78 jechał od wschodu wozem marki Plymouth, który z trudem wspiął się na wzgórze, gdzie zaczynała się zachodnia granica Washingtonville. Kierowcą był zaniepokojony, bo motor pracował nierówno, a podróz była utrudniona po wczorajszych opadach śniegu.

— Jeżeli uda mi się znaleźć to wzgórze, być może, znajdziemy stację benzynową, albo warsztat — powiedział Hub Grant do żony. — Musimy coś zrobić z tym gratem, aby dojechać do Connecticut.

— Jest jeszcze wcześniej Hub — powiedziała żona. — Obawiam się, że wszystko będzie pozamykane. Lepiej zawrócić do jednego z tych hoteli przy drodze.

W tym momencie maszyna osiągnęła szczyt wzgórza. Przed nim w dolinie stały pokryte śniegiem domy Washingtonville. Było cicho i spokojnie, a ich wóz był jedynym, który oświetlał drogę w dół.

— Jest stacja benzynowa — powiedział Hub. — Spróbujcie się dostać do środka.

Ustawił maszynę na zbożu w połowie drogi do stacji. Wyko-

rzystując spadek terenu, zdołał ustawić wóz na skraju szosy przy kupie śniegu zarniętego z drogi. Potem otworzył drzwi i ruszył w ciemność. Podszedł do stacji, ale przekonał się, że jest nieczynna. Zimą otwierali stację o 7.00.

Hub wrócił do wozu i powiedział:

— Nikogo nie ma. Spróbuję zejść niżej, może któraś z następnych będzie czynna. Poczekał w wozie, postaram się szybko wrócić.

Zatrzasnął drzwi i zaczął schodzić drogą w kierunku centrum miasta.

Była godzina 5.41.

Sara Benson wyszła właśnie z domu znajdującego się na przedmieściu Washingtonville i krocząc wąską ścieżką w stronę 78 drogi, która prowadziła w kierunku centrum miasta. W tym tygodniu miała dyżury rano;

JAMES HOLDING

OBŁOK PARY

otwierała lokal Wrighta i przygotowywała kawę dla zaspanych i zmęczonych kierowców, którzy byli stałymi klientami. Wiedzieli, że Wright otwiera lokal już o szóstej i ma dobrą, mocną i gorącą kawę, którą można się świetnie pokrzepić, a także najprzystojniejszą kelnierkę między Nowym Jorkiem i Chicago.

Ze wzgórze do kawiarni było około 100 jardów. Droga była pusta i z daleka niósł się tylko zgrzyt nadjeżdżającej maszyny. Nagle usłyszała za sobą stapanie. Odwróciła głowę, ale dojrzała w ciemnościach tylko sylwetkę człowieka, rysująca się na tle zasp śnieżnych. Widać było i on dojrzał ją w tym mo-

mentcie, bo podniósł ramię i zawołał: — Halo!

Nie mógł jednak dokończyć zdania. Nagle z góry ruszył w jego stronę jakiś wóz. Człowiek znalazł się na moment w świetle reflektorów, a Sara, gdy dojrzała pędzącą maszynę, gwałtownie skoczyła w zaspę na skraju drogi. Widziała, że tamten chciał zrobić to samo, ale nie zdążył.

Stała oniemiała. Uszu jej dobiegł głuchy łomot, usłyszała pisk gum i zobaczyła padającą sylwetkę.

Była oszolomiona, ale spojrzała szybko w kierunku wozu. Nie była w pierwszej chwili pewna, czy jedzie, czy się zatrzymał. Wóz ryknął jednak i nabrawszy rozpędu ruszył szybko w kierunku miasta. Sara nie mogła uwierzyć własnym oczom.

— Stój! — zawołała, gdy maszyna zniknęła jej już z oczu. — Stój, potraciłeś człowieka! Stój! — wyła prawie, gdy światła wozu mordercy miały już tylko na wschodnim zboczu wzgórze.

Ruszyła w stronę dającego jeszcze nikielne światło mężczyzny. Usiłowała go podnieść, ale daremnie. Zawróciła więc w stronę kawiarni. Otworzyła szybko drzwi, zapaliła światło i zatelefonowała na policję.

Była godzina 5.55.

Porucznik Randall przybył na miejsce wypadku o godz. 6.05, gdy zaczynało świtać. Obejrzał ślady wozu obok zasp śniegu. Ślady krwi i miejsc, z którego Sara ośladała to wszystko. Potem, zebrawszy potrzebne informacje, kazał policjantom odwieźć ofiarę do szpitala miejskiego w Washingtonville. Ranny nie zdołał niestety powiedzieć już ani słowa, dawał bardzo nikielne znaki życia i wkrótce zmarł.

Randall usiadł w kawiarni Wrighta, naprzeciw jednego z kłaków zająca — kelnierki Sary Benson. Sara znajdowała się w stanie tak krancowego wyczerpania nerwowego, że musiał jej zaparzyć kawę i poczekać, aż opamięta histeryczne drżenie.

Kiedy Randall przystąpił do pospiesznego badania, dziewczyna była jeszcze zapłakana, a rozsypane w niedziele włosy zasłaniały jej twarz.

— Jakiej marki była ta maszyna? — zaczął Randall.

— Nie wiem, było ciemno. Jechał w moją stronę i oślepił mnie reflektorami.

— Ale w momencie zderzenia spojrzała pani w stronę wozu? — Tak.

— Co pani widziała?

— Ciemne obicie wnętrza maszyny utrzymane w jednym tonie. Tego jestem pewna. Aha, jeszcze widziałam czerwone światła stopowe, zanim zdecydował się uciekać.

— Jaki kształt miały światła?

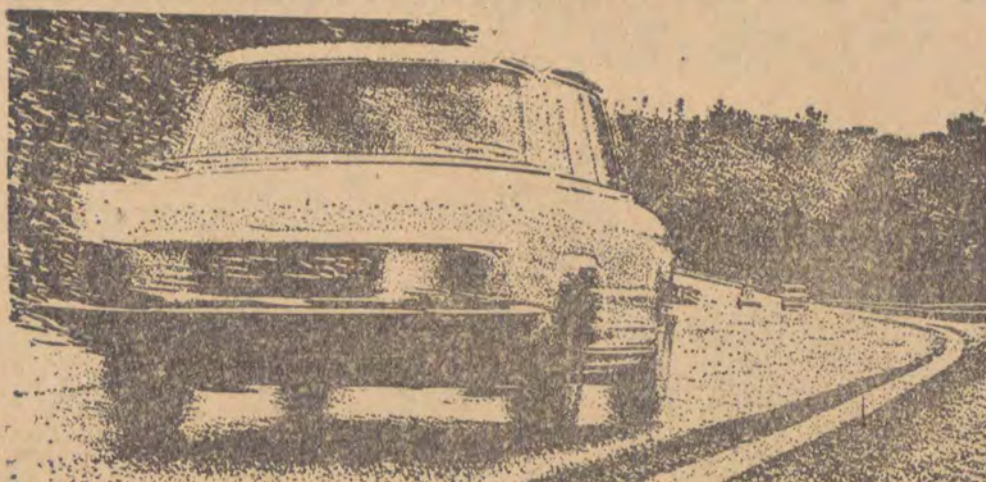
— Przypuszczam, że były okrągłe — powiedziała Sara. — Duże okrągłe, czy małe okrągłe? — indagował Randall.

— Myślę, że średnie okrągłe. Byłam zaskoczona, nie pamiętam dokładnie.

— Czy nie było czegoś, co zwróciło pani uwagę, między tymi światłami? Chyba widziałam pani numer, markę wozu, albo znaki rejestracyjne stanu?

— Chwilęczkę — poprosiła Sara. — Może sobie przypomnę.

— Dobrze, niech się pani zastanowi. Czy to były znaki re-



jestacyjne Pensylwanii czy nowojorskie?

— Nie, nie mogę sobie przypomnieć żadnych znaków — powiedziała.

— Skoro pani nie pamięta numerów rejestracyjnych — powiedział Randall — to może przypomni pani sobie cokolwiek innego, co dałoby nam choćby minimalne szanse zidentyfikowania wozu? Może w czasie zderzenia pękła szyba, czy szkło od reflektora lub cokolwiek innego?

Sara zamknęła oczy i usiłowała przypomnieć sobie przebieg wypadku. Milczała dłuższą chwilę, ale gdy otworzyła oczy, powtórzyła, że nie może sobie niczego przypomnieć.

— Kiedy przejeżdżało koło mnie, z rury wydechowej wyszedł kłab pary, który mi wszystko przesłonił — powiedział.

Randall wstał.

— Dziękuję — powiedział. — Znalazłem na szosie kawałek metalu, to już coś dla nas. Proszę nas odwiedzić, musi pani podpisać zeznania, które pani nam złożyła. Być może jeszcze wrócić tutaj, jeśli można pani ukraść trochę czasu.

Była godzina 6.24.

Gdy Bialy Amos przyszedł otwierać stację o godzinie 6.45 zobaczył w pobliżu zarytego w śniegu Plymouth'a i śledzącą wewnątrz młodą kobietę, rzucającą zza futrzanego kołnierza zaniepokojone spojrzenia.

Kiedy Amos otworzył stację, młoda kobieta natychmiast opuściła maszynę i weszła za nim do wnętrza. Zapytała niepewnym głosem, czy może skorzystać z telefonu. W chwili później Amos musiał udzielić jej pomocy, gdy dowiedziała się od policjanta, że jej mąż został potrącony przez samochód i już nie żyje.

Zegar Amosa wskazywał godzinę 7.00.

Porucznik Randall błyskawicznie powiadomił o wypadku swych zwierzchników w Turnipke i zażądał pomocy. Z kolei zarządził przesłanie terenu w rejonie 78 drogi, między centrum handlowym, a miejscem wypadku i dalej, w kierunku, który wskazała kelnierka. Opis maszyny (bardzo skąpy) nie rokował jednak zbyt wielkich nadziei na jej zidentyfikowanie.

Randall zabrał się bez entuzjazmu do bułki i szynki. Oczekiwał z górą kwadrans na wiadomości, gdy dyżurny po-

wiadomił go, że jakaś młoda kobieta pragnie się z nim natychmiast zobaczyć. Pospiesznie schował jedzenie. To była Sara Benson.

— Z czym pani przychodzi?

— spytał.

— Przypomina pan sobie, że nie potrafiłam powiedzieć nic szczególnego o maszynie mordercy. Przypomina pan sobie również, dlaczego nie mogłam dostrzec numerów rejestracyjnych wozu, prawda?

— No, słucham.

— Nie mogłam widzieć numerów, bo przesłonił mi je obłok pary, który wóz wyrzucił w moją stronę z rury wydechowej.

— I co z tego? — przerwał jej Randall.

— Wtedy nie mogłam zobaczyć ani tablicy rejestracyjnej, ani marki wozu, ale chciałam panu pomóc w jakiś sposób, choć mi ta para przeszkodziła i nie mogłam niczego zobaczyć.

— To już pani powiedziała.

— Tak. Ale zastanawiałam się, dlaczego samochód po prostu nie dymił, tylko puścił kłab pary.

— I co z tym kłębem pary?

— Właśnie, że po drodze do Wrighta, gdzie pracuję, znajduje się postój ciężarówek Jensenów, które w zimie stoją na dworze.

Randall kiwnął głową.

— No i co z tego?

— Obserwowałam te ciężarówki. Gdy po mroźnej nocy zofery zapalają motory, dym z rur wydechowych jest podobny

do tego dymu, który wyrzucał wóz mordercy. A gdy ciężarówki wracają po całonocnej jeździe, obłok spalin jest zupełnie inny. Żeby się upewnić, zadzwoniłam do brata w Pittsburgu. Brat jest mechanikiem samochodowym. Potwierdził moje przypuszczenia.

Randall chwycił słuchawkę aparatu telefonicznego.

Kiedy zadzwonił później do jej mieszkania, zapytała natychmiast, czy ma jakieś nowiny.

— Znakomicie. Policja stanowa zatrzymała mordercę przed godziną w pobliżu Allentown. Wóz miał wgniecioną białą masę, ślady krwi i włosy. Brakowało mu też części metalowej, która znalazła się w szosie w pobliżu wypadku.

— Właśnie, że kłębem pary pomógł panu?

— Znakomicie. Ma pani żytkę detektywistyczną. Kłęb pary mogły wydobyc się tylko z maszyny, która została dopiero co zapuszczona na mrozie, gdy na rurze wydechowej osłodziło zimne, wilgotne powietrze. Po zapaleniu motoru szron zmienił się znów w parę i stał się ten kłab, który pani przesłonił widok. Morderca musiał nocować tuż obok miejsca wypadku. I rzeczywiście, nocował w pobliskim motelu. Pamiętam tam numer jego wozu.

Opracował wg

„ALFRED HITCHCOCK'S MYSTERY MAGAZINE”: JHW

Przeczytaj w pociągu

Przeczytaj w tramwaju

Przeczytaj u dentysty

Lewym
okiem



KOLOROWE UDAWANIE

Podobno ze wszystkich ról granych na scenie, a tym bardziej w życiu, najtrudniejszą jest udawanie zupełnej naturalności. Tylko całkowity abnegat może być zawsze naprawdę naturalny, ale też trudno z takim wytrzymać. Uroczy, bezpretensjonalny facet prawdopodobnie długą pracę dopiero doszedł do swej bezpretensjonalności; tym, większa jego zasługa, pracę należy cenić wyżej niż niezasłużone wrodzone uroki.

O przedmiotach martwych też czasem mówimy, że są pretensjonalne, chcą udawać nie to, czym są naprawdę, demonstrując oglądającym je ludziom pozory cech, których nie posiadają. Naturalnie — przedmioty nie czynią tego same przez się, są tylko czymś uprzedmiotowionym gestem, myślą, grymasem. Znowu więc sprowadza się rzecz — do osoby jej twórcy.

Kiedy wchodzić do gospody trzeciej — co najmniej — kategorii, w miasteczku piątej — najwyższej — klasy, wykrzywa się do mnie groteskowym grymasem anonimowy magik, któremu powierzone „wystroje”. Sam też się tak pewnie stroi.

Spodnie ma brązowe, koszulę czerwoną, krawat niebieski w grochy i tekstylnie zamaski w kolorze bł. Na suficie „wystrojonego” przezeń lokalu, pomalowanym w decentryczne koła i trójkąty wykwitają inne decentryczne koła — brudnożółtych zacieków. Dokola lamp z niklu i czarnego szkła wiszą różowe bibułki po ostatnim świetnie kobiet, a bezkształtne, supernowoczesne popielniczki grzają się jak wściekłe z biedniutką kamienną posadzką, wyłożoną przez tysiące niekoniecznie trzeźwych stóp.

Cyrk miał zawsze przywilej stosowania najdziwniejszych kolorów, tak jak lunaparki i karuzele — miał skoczyć do oczu, oszłomić, zawrócić w głowie hałasem i humbugiem. Ale po co zawracać w głowie Bogu ducha winnym przechodniom, malując walące się parkany, lawki w parkach, stoliki w kawiarniach na sto papuzich kolorów, każda deszczka inaczej? Dlaczego osiedle domków campingowych ma wyglądać jak prowincjonalny cyrk, a każdy domek z osobna jak cyrkowy kłown?

Bardzo nowoczesna architektura operuje wielkimi, prostymi bryłami, bez żadnych ozdób, linia prosta, szkielet, celowość, wszystko jak pod sznurek. Więc żeby nie znużyć oka przechodnia i wprowadzić elementy indywidualizujące poszczególne domy — jednak mimo wszystko odróbinę czelkowi na tej indywidualności zależy — sięga się po kolor. Dyskretnie, szerokie pasy pod oknami, podmalowane nisz balkonów. Ładnie. Natomiast bardzo brzydko, kiedy nagle zaczyna się smarować na żółto secesyjną kamieniczkę z gipsowymi girlandami pod dachem, z aniołkami pod-

pierającymi drzwi wygodki i z dziesiątkiem wdręcznych fałdek o wygiętych łabędzio daszkach. Jeszcze gorzej, kiedy w lewo od bramy zasmaruje się kamieniczkę na żółto, a w prawo — na brązowo. Jeszcze gorzej, kiedy przy tym wszystkim da się aniołkom zieleń na wdręczne pupki, girlandy pociągnie karminem, każde okno ujmie niebieską ramką. Potworność, którą zresztą można dowolnie mnożyć i potęgować. Tak jak można w poczekalniach kolejowych, w klubach, w urzędach, powiesić kilometry kretonu w kolorze jajeżniczy ze szczyptorkiem, zosławiając opromnie dębowe stółki i fotele z wytłaczoną skórą; jak można wymyślić lampę w kształcie trąby słoniowej, kalamarz udający sówę, żelazko z kocią łapą zamiast wygodnego uchwyty, buty w szpic zamiast butów do chodzenia; serwis na dwanaście osób w sześćdziesięciu kolorach. Niestety, można. Robią to nawet plastycy na etatach. Jeden plastyk wymyśla opakowanie do makaronu, drugi je zatwierdza, trzeci po roku dyskwalifikuje i zaczynać od nowa.

Czasem tylko na wystawie wzornictwa, niekoniecznie zagranicznego, migie piękny jakiś przedmiot. Czasem uda nam się przeczytać wiersz lub książkę, gdzie każde zdanie pasuje do zawartej w nim myśli, i rozmawiać z człowiekiem, który nie mówi, że „zastąpiła faktycznie okoliczność”, nie udaje niczego, gra bezbłędnie najtrudniejszą i najładniejszą rolę: bezpretensjonalnej prostoty.

CWIEK